

was. 2552/1982/12



BUDGIE w komplecie. Od lewej: baskista Burke Shelley, perkusista Steve Williams i gitarzysta John Thomas. Artykuł str. 12. Fot. Christos Juliomakis

Jeszcze o Mundialu

Waldemar Piasecki

str. 4-5

Akupunktura — tanio i dobrze

Anna Bocian

str. 5

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Rok założenia 1933

Kamena

NR 12 (758)

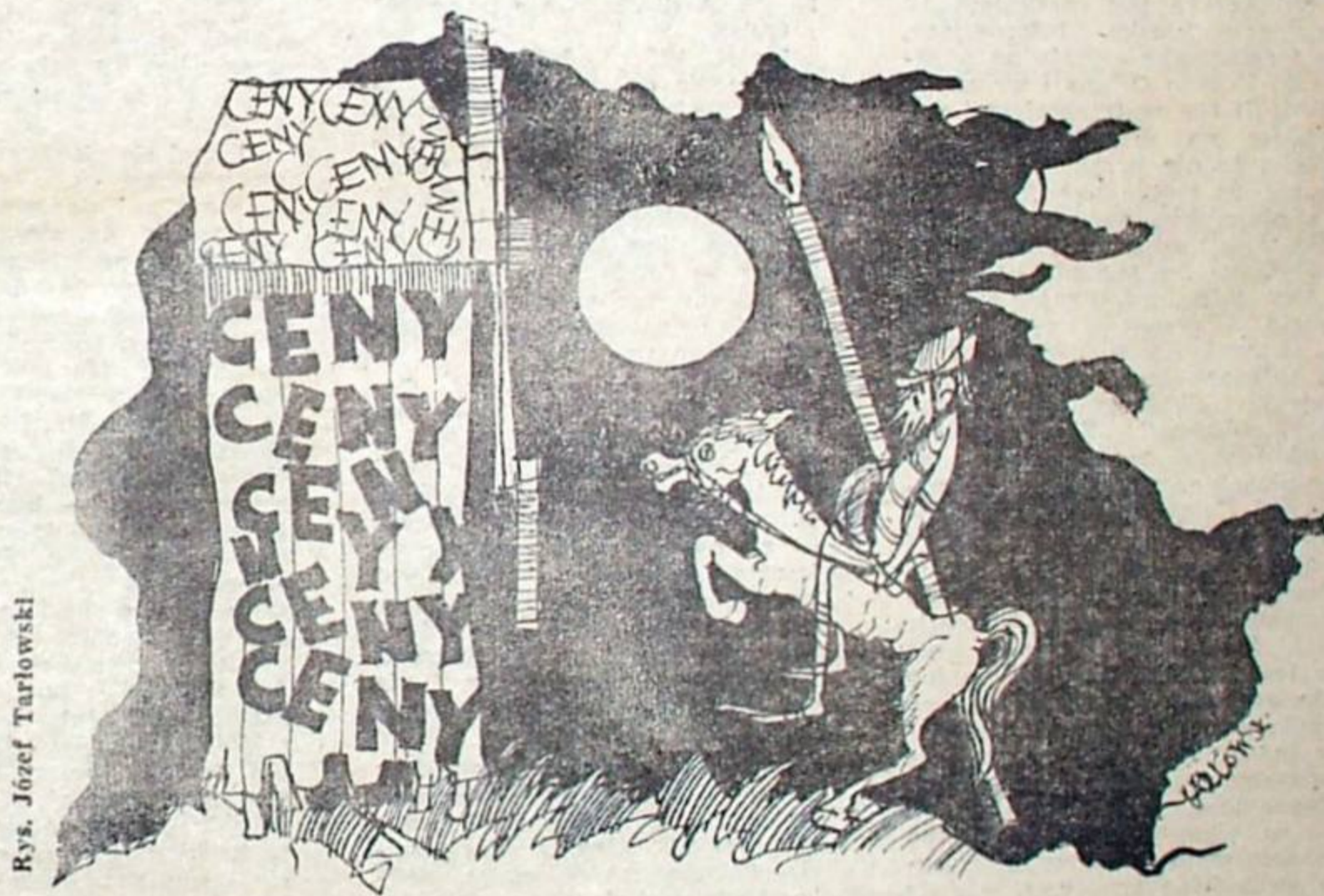
12 - 25 września 1982

CENA 10 ZŁ



Ale przeciw komu i czemu?

Rozmowa
z redaktorem naczelnym
tygodnika „Veto”
prezesem
Federacji Konsumentów
Andrzejem Nałęcz
-Jaweckim



Rys. Józef Tarłowski

— Jestem zachwycony, że „Kamena” będzie chciała spopularyzować, zresztą nie po raz pierwszy, problemy, którymi zajmuje się Federacja Konsumentów (oraz tygodnik „Veto”). Przejdźmy zatem do rzeczy. Pierwsze pana pytanie brzmiało: skąd się wzięło „Veto” w stanie wojennym i czy ja znalazłem receptę na zakładanie pisma w stanie wojennym. Uważam, że jeżeli jest potrzebne pismo, to bez względu, czy jest rewolucja, kontrrewolucja czy stan wojenny, pismo takie powinno powstać. Tak było z „Veto”, choć muszę powiedzieć, że powstało ono przy pewnym poparciu władz.

— Czy ojcem „Veta” było „Życie Gospodarcze”?

— Ojcem „Veta” byłem ja, skromnością nie grzeszę. Kolo tego razem z red. Juchniewiczem, obecnym z-cą red. naczelnego „Veta”, chodziliśmy od marca ub. roku. Wtenczas powstał Dziennikarski Klub Rynku i Ochrony Konsumenta. Zrzeszyło się około 90 dziennikarzy zajmujących się problematyką rynku i utworzyliśmy Klub, nie pytając nikogo o zgodę. Chcę powiedzieć, że SDP nie bardzo chciało nas wziąć pod swoje skrzydła, więc utworzyliśmy Klub poza SDP. Z Klubu tego wywodzi się większość dziennikarzy zatrudnionych w „Veto”.

Dokończenie na str. 8

100 rocznica powstania „Proletariatu”

U ŹRÓDEŁ

Stanisław
Dziadoń

BYŁO to sto lat temu, we wrześniu 1882 roku: z inicjatywy polskich rewolucjonistów w rozerwanym przez trzech zaborców kraju powstała pierwsza partia polskiej klasy robotniczej — „Proletariat”. Wydarzenie to poprzedziła ożywiona działalność zakładanych z inicjatywy Ludwika Waryńskiego w Królestwie Polskim kółek socjalistycznych i „kas oporu”. Na arenę dziejową wchodziła nowa siła, która stawiała sobie za cel wyzwolenie społeczne i która w sposób skuteczny ujęła później w swe ręce sprawę niepodległego bytu Polski.

Stare, zmurzałe szpargały: fotografie, listy, dokumenty, w których określa się rytm czasu przyszłego — dni, które mają nadejść. I jednocześnie paraliżująca rzeczywistość.

10 października 1878 r. List adresowany do wiceprokuratora Warszawskiej Izby Sądowej, Wia-

cesława Plewego. Pisze młody, 22-letni człowiek „z drogi”, co oznacza — bezdomny uciekinier przemykający przez kordon graniczny (do Galicji), aby uciec carskiej ochronie.

„Udało mi się — zawiadamia wiceprokuratora — szczęśliwie przebyć granicę i nie trudziłbym już Pana moją osobą, gdyby nie wypadki, jakie zaszły w ostatnich czasach. Przy rewizji u Grabowskiego Alek. (Chmiełna No 38) znaleziono rzeczy należące do mnie, a które ja dałem do przechowania, nie mówiąc, jakie one są. Klucz od komórek był zawsze u mnie i tylko na czas rewizji przyniosłem paczkę [...] książek, zapomniałem go wziąć z sobą”.

Dokończenie na str. 11

z notatnika

27 VIII. Emancypacja emancypacją, ale w Chinach ponoć nie lubią, gdy rodzi się niemowlę płci żeńskiej. Przypadki dzieciobójstwa i maltretowania dziewczynki nie należą do rzadkości, chociaż stare przysłowia chińskie mówią, że kobiety podpierają połowę sklepienia niebieskiego.

Niechęć do córek ma podłoże ekonomiczne zwłaszcza na wsi, gdzie mieszka 80 proc. ludności kraju. Polityka ograniczenia przyrostu naturalnego rygorystycznie nakazuje młodym małżeństwom płodzenie najwyżej jednego dziecka. Rodzice, którzy się do tego nie dostosują, są po prostu karani. Chłopi uprawiają ziemię rodzinami i od rezultatów uprawy uzależniają się ich zarobki. Lepiej zatem mieć synów, ponieważ pozostają oni w gospodarstwie i przyczyniają się do wzbogacenia rodziny, niż córki, które zasilaają inne rodziny, a własna nie ma z nich pożytku.

W Górach Pachtanych na zachód od Pekinu stoi na górze Heng posąg Bogini Miłosierdzia, która trzyma w ramionach małego chłopca. Według ludowego przesądu, jeśli ciężarna kobieta dotknie ucha dziecka, to urodzi się dziewczynka, a jeśli dotknie jego członka, to — chłopiec. Skutek jest taki, że ucho od wieków jest nieknięte, natomiast po członczku nie pozostało ani śladu.

A swoją drogą ciekawe, jakby wyglądał taki posąg wzniesiony nad Zalewem Zemborzyckim? Sadzę, że butelkami po piwie straconoby nie tylko członczek, i nie tylko uszy. I to w ciągu jednej nocy. Albo jednego dnia...

31 VIII. Godzina 13.15. Przed antką w Firleju stoi kilkanaście osób. Antka jest zamknięta. W drzwiach kartka, informująca, że farmaceutka wyszła na naradę do Urzędu Gminy i wróci ok. 12-ej. (!) Nie wytrzymałem i napisałem na drugiej kartce, że antka to nie urząd. Rozumiem, że narada mogła być rzeczywiście niezwykle ważna, ale ważniejsze jest zdrowie ludzkie. Naczelnikowi nie spadnie korona z głowy, jeśli pofatyguje się do apteki i przekáže, co ma do przekazania. A w ogóle na wiele sklepach spotykam kartki w rodzaju: „Wyszedłem do banku, zaraz wracam”. Kiedy wyszła, kiedy wraca, to już słodka tajemnica kierowniczkich czy ekspedientek. Człowiek czyta i wychodzi z siebie.

3 IX. Tyle myśli kłębi się w głowie, że trudno przelać je wszystkie na papier. Urlopuję nad firlejowskim jeziorem, ale co to za urlop, gdy tak trudno oderwać się od rzeczywistości. Radio przynosi wieści z wielkiego świata, ale kiedy uchwyli się mówiący po polsku Waszyngton, Monachium, Paryż czy Londyn można odnieść wrażenie, że na naszym globie wszyscy interesują się jedynie tym, co dzieje się między Bugiem a Odrą. Cóż się kryje za tym obłudnym współczuciem? Chciałoby się powiedzieć: „Panowie, zajmijcie się swoimi sprawami!” Z całą pewnością taki np. Waszyngton mniej pasjonował się Polską roku 1939 niż roku 1982!

Współczesny świat jest jedną wielką beczką prochu. Często

zapominamy o tym, że od zakończenia II wojny światowej nie było właściwie ani jednego, podkreślam — ani jednego, dnia, w którym na ziemi panowałaby prawdziwy pokój. Oblicza się, że w przeciągu tych ostatnich 37 lat toczyło się 130 wojen, wojen domowych, powstań i różnych większych kampanii terrorystycznych w 100 krajach, a ich skutkiem była śmierć 35 milionów ludzi. Charakterystyczne, że więcej ofiar ponosiła ludność cywilna niż wojsko. Ostatni przykład — Liban i jego stolica, Bejrut.

Polska leży w tak newralgicznym punkcie Europy, że każda próba destabilizacji tego kraju pociągnąć może za sobą nieobliczalne konsekwencje. Jeśli wojny, nazywane lokalnymi, pochłonęły tyle istnień ludzkich, jaki mógłby być finał światowej wojny atomowej? Tego nikt nie jest w stanie przewidzieć. Najwne są mierzki niektórych strategów amerykańskich o możliwości prowadzenia ograniczonej wojny jądrowej w Europie. Zbyt wielkie jest tu ześrodkowanie sił zbrojnych wielkich mocarstw.

W Erice na Sycylii odbyło się niedawno międzynarodowe seminarium z udziałem atomistów z Zachodu i Wschodu. Uczni stwierdzili, że ewentualne starcie atomowe między ZSRR i USA pochłonięłoby od pół do 1,5 miliarda ofiar. R. Carvin, jeden z atomowej, zwrócił uwagę na twórców amerykańskiej bomby fakt, że większość spośród tych, którzy przeżyliby apokalipsę, utraciłoby wzrok.

Pół miliarda. Miliard. Półtora... Inaczej mówiąc, liczba ludności Polski pomnożona przez 15, 30, 45. A dlaczego nie przez 60? Obłęd...

Ludzi, którzy dążą do przekształcenia naszych miast w poligony, którzy uporczywie wykorzystują niedoświadczenie młodzieży, można by nazwać samobójcami politycznymi. Można by, gdyby to określenie nie było polowiczne. Samobójca — i polityczny — działa, powiedziałbym, na własny rachunek. W danym wypadku rachunek przychodzi płacić nam wszystkim.

Nie chcę się powtarzać. Codzienna prasa wiele pisała na temat tego, czego widownią były niektóre miasta w ostatni dzień sierpnia. Jakkolwiek by patrzeć na to, co się wydarzyło — a na kompleksowe oceny jeszcze za wcześnie — jedno jest pewne: nie tędy droga. Nikt w żaden sposób czasu nie cofnie. Nie ma powrotu do anarchii sprzed 13 grudnia 1981 r. i nie ma powrotu do arogancji władzy sprzed sierpnia 1980 r.

5 IX. Nie wnikać w meritum sporu między Jerzym Robertem Nowakiem z „Polityki” a Eugeniuszem Wasikiem z „Rzeczywistości”, nie mniej godny podkreślenia jest fakt, że „Rzeczywistość” przedrukowała w całości artykuł z „Polityki”, w którym Nowak objechał Wasika. Trzask z kolei odgrzyza się Wasik. Szczęśliwie prasy nie pozwala może na upowszechnienie tej metody, niemniej często się zdarza, że polemiki wyrwyją z poszczególnych tekstów odpowiadające im fragmenty i biją się na-

wzajem po oczach. A cierpliwy czytelnik — zwłaszcza ten, który czyta jeden tytuł — nie potrafi sobie wyrobić własnego zdania.

Siedzę dalej w tym Firleju ku radości kioskarkę „Ruchu”, któremu zwiększam utarg prasy. Skarży się właśnie, że już po sezonie, a prasy otrzymuje tyle, co w lecie. Jest więc w czym wybierać.

Oto „Gazeta Młodych”, której dopiero drugi egzemplarz (a wyszło już ich 29) trafił mi w ręce. Drukują ją — czytam w stopce redakcyjnej — W.Z.Graf. Nie wiem, jak brzmi pełna nazwa drukarni, ale zasługuje ona na wielką pochwałę. Druk jest przejrzysty, farba rzeczywiście czarna, a zdjęcia czytelne nad wyraz.

Spośród materiałów zwróciłem uwagę na reportaż Krzysztofa Dempskiego. Autor porusza temat niby banalny: chodzi mu o prywatny import naszych rodaków, zatrudnionych w NRD. „Panie — zacytuje — mają swój system. Kupują sześć identycznych zestawów towarowych. Na przykład po dziesięć par butów, 100 par rajstop czy też ubranek dziecięcych. Jeżeli któraś wpadnie, to zyski pozostałych równo dzielone są na wszystkie”. I dalej: „Oficjalny kurs marki NRD wynosi 13,50 złotego. Na czarnym rynku dochodzi do 120. W przeliczeniu towarowym osiąga nieraz kwotę 400 złotych. Proceder kwitnie i rozwija się. Trudnią się nim zarówno wytrawni handlowcy jak i nowicjusze. Tymczasem się na granicy mówią, że to, co wiozą, to dla rodziny, to tylko na własne potrzeby. Później towar ten wędruje dalej, do ludzi”.

Krzysztof Dempski proponuje, by w trosce o ochronę dobrego imienia obywateli naszego kraju, maksymalnie ograniczyć ten proceder. Oczywiście, że można. Pragnę tylko zauważyć, że na targu w Lubartowie zatrzymane buty męskich z prywatnych wytwórni w cenie ok. 2500 złotych za parę. Gdybym musiał wybierać, wolałbym zapłacić więcej i kupić buty NRD-owskie, które nie rozpadną się przy byle deszczu...

Ukazał się pierwszy numer nowego pisma pt. „Tygodnik Robotniczy”. Kolegium redakcyjne wprawdzie się nie ujawnia, ale sądząc po nazwiskach autorów wydaje się, że do tygodnika przeszli niektórzy dziennikarze ze zlikwidowanej „Trybuny Mazowieckiej” (Janina Godlewska, Henryk Pogorzelski). Smutne jest to, co pisze Stanisław Andrzej Pawlikowski, ślusarz Stalowni Huty „Warszawa”. „Powiadają — stwierdza on — być może, jest to plotka, że na tej wizycie premiera Wojciecha Jaruzelskiego stracił tylko załoga. Dlatego, że wszystko wróci do normy, a władze odpowiednio „podliczą” załogę, kiedy będzie trzeba. Tak to dochodzi do sytuacji dość dramatycznej.” Jak pamiętamy z relacji telewizyjnej, robotnicy nie owijali słów w bawełnę. Po niezadowolonej wizycie generała Jaruzelskiego szybko podjęto kroki mające na celu usunięcie wielu zanieczyszczeń. Wspominałem o tym w notatniku. Czytając relację Pawlikowskiego, chciałoby się wierzyć, by to, o czym pisze, okazało się najzwyklejszą plotką. Jak jednak musiało zostać naderwane zaufanie wśród pracowników huty, skoro tego rodzaju plotka mogła się narodzić?

M. A. Jaworski



WŁADYSŁAW GOMUŁKA 1905-1982

1 września 1982 roku zmarł Władysław Gomułka — Wiesław. O dręczącej Go chorobie nowotworowej mówiło się już od dłuższego czasu. Proponowano Mu ponoć wyjazd na leczenie za granicę. Odmówił, krótko stwierdzając, że chce umierać w Polsce.

Tygodnik „Polityka” określił Władysława Gomułkę jako najwybitniejszego przywódcę polskiego ruchu robotniczego w naszym stuleciu i w słowach tych nie ma przesady, występującej niekiedy w okolicznościowych nekrologach. Jego burzliwą drogę życiową, niekiedy i tragiczną, analizować będą historycy. Z odległości czasu lepiej będzie można ocenić tego Człowieka, który wszystkie siły poświęcił sprawie Polski, sprawie idei socjalistycznej, aczkolwiek nie uniknął i błędów, które w roku 1970 doprowadziły do zajęcia na Wybrzeżu i w konsekwencji spowodowały Jego rezygnację ze stanowiska i sekretarza KC PZPR. Stało się to wkrótce potem, gdy szef rządu RFN, Willy Brandt, odwiedził Warszawę i podpisał układ o normalizacji stosunków między Polską i RFN, układ wyraźnie stwierdzający, że Odra i Nysa stanowią zachodnią granicę Polski. W ten sposób ukoronowana została konsekwentna polityka Władysława Gomułki, który z niezmiennym uporem dążył do umocnienia bezpieczeństwa naszego kraju i zażegnania groźby nowej wojny. Temu celowi służył również plan — Jego i min. A. Rapackiego — utworzenia w środkowej Europie strefy bezaatomowej. Być może — analizując to szczegółowo historycy — właśnie zajęcie się przez Wł. Gomułkę problematyka międzynarodowa wpłynęła na to, że nieco zaniedbał sprawy wewnętrzne, co potem tak się srodze zemściło.

Niezależnie jednak od wszystkiego nikt nie przekreślił roli, jaką odegrał On w 1956 roku. Bezspornie Jego jest zasługą, że wydarzenia październikowe przybrały taki właśnie obrót, że nie doszło u nas do kontrrewolucji ze wszystkimi jej konsekwencjami.

Ostatnie lata życia poświęcił na pisanie pamiętników. Był znakomitą publicystą. Spod Jego pióra wyszła deklaracja PPR „O co walczyliśmy”. Wiele Jego myśli zawartych w artykułach i przemówieniach wytrzymało próbę czasu i zapewne do tej spuścizny będziemy jeszcze wracać niejednokrotnie.

Odszedł Człowiek, którego nigdy nie zalałamy więzienia, który zawsze umiał bronić swego stanowiska, aczkolwiek z tej walki o własne poglądy nie zawsze wychodził zwycięsko.

Z Jego śmiercią zamknęła się pewna epoka powojennej Polski — z czasem będziemy to rozumieć coraz lepiej.

Cześć Jego pamięci!

KRONIKA

● Podczas 6-tygodniowego pobytu w RFN, Belgii i Wielkiej Brytanii dziecięcy zespół „Scholares Minores Pro Musica Antiqua” z Pontisowej dał 46 koncertów, znów uzyskując uznanie słuchaczy i szereg recenzji. W prasie — by po kilkunastu dniach odpoczynku w kraju wyprawić się do Czechostowacji. Nie tracąc z pola widzenia mu-

zycznych walorów zespołu, pozwalamy sobie odnotować z podziwem: ale zdrowie mają te dzieci!

● Właśnie otrzymaliśmy kolejne talony czyli kartki: na obuwie, którego brakuje w sklepach, gdy tyraczącym np. w garbarni lubartowskiej znajdują się wielkie zapasy skór. W związku z tym stwierdzamy, że twórczość Witkacego ma charakter profetyczny i realistyczny.

● Na koncie Miejskiego Funduszu Odnowienia Zabytków w Lublinie widnieje obecnie kwota przewyższająca 36 mln zł. Bez względu na to, jak ma się ta suma do potrzeb, pragniemy poinformować, że instytucja najbardziej zainteresowana o lubelskie zabytki okazał się Państwowy Monopol Loteryjny z Warszawy, który na wladome konto wpłacił ostatnio 36 mln zł. Przy okazji dowiaduje-

my się, że przy konserwatorze wojewódzkim powstaje coś w rodzaju rady.

● W lubelskim Teatrze Laiki i Aktora Jan Dorman inscenizuje operę „Król Roger” Karola Szymanowskiego. Od premiery dzieł nas młodsze, ale napięcie wśród potencjalnej publiczności przedstawienia jest już spore, albowiem ma to być rzecz niekonwencjonalna i kto wie, czy aktorzy nie wystąpią w autentycznych habitach, co zalety od dobrej woli duchowieństwa.

● Innego rodzaju emocje wyzwalają ceniki POM-u w Ciechankach, który za montaż — kilka prostych czynności plus drobne materiały — mechanicznej dofariki „Alfa-Lawal” domaga się od każdego klienta niemal 19 tys. zł. z czego 14 tys. to tzw. narzuty firmowej Hodowcy krów są bezradni, bo na mocy umowy z producentem

POM jest monopolistą w dziedzinie „montowania dojarok”.

● Ze zrozumięciem oburzeniem prasa donosi, że Izba Pamięci Narodowej koło Rąbowa, dokumentująca zwycięską bitwę partyzancką z wojskami niemieckimi, przypomina obrot. Ze swej strony przypominamy, że w budynku mieszczącym izbę znajdował się swego czasu również klub „Ruchu” (czy „Rolnika”?), który wieczorami zamieniał się w miejsce uciech i wyszynku.

● Do Parczewa powrócił Pomnik Wolności, po raz pierwszy odsłonięty w roku 1923 dla uczczenia narodzin II Rzeczypospolitej, a zniszczony w czasie II wojny światowej. Główny element monumentu — orzeł — wzbijający się do lotu — został zrekonstruowany przez Zygmunta Walencjuka, rzemieślnika ludowego ze wsi Kolano, a następnie odlany w brązie.

Piękny odpust czyli „Documenta 7”

Ireneusz J. Kamiński

METRYKA Kassel sięga średniowiecza, ale nie o historii będą gawędził, bo przyjechałem tutaj, by obejrzeć światową wystawę sztuki współczesnej pn. „Documenta 7”. Zresztą zabytków miasto posiada niewiele; ostatnia wojna nie oszczędziła tego miejsca i całe właściwie centrum wzniesiono na nowo, nadając mu charakter swoistego wnętrza, w którym znajduje się wszystko to, co potrzebne do wygodnego życia o kulturalnych aspiracjach. Wychodzisz na przykład z ratusza, gdzie dzięki protekcji pana Czesława Szablewskiego — kiedyś jeńca wojennego, a dziś mieszkańca Kassel — otrzymałeś okresowy bilet bezpłatny na wszystkie linie tramwajowe, bardzo cenny, bo jeden przejazd kosztuje półtorej marki, i już po kilkunastu metrach drogi wstępujesz w labirynt domów towarowych, sklepów mniejszych i większych, restauracji i barów, kin oraz kiosków z gorącymi kiełbaskami i zimnym piwem, aby następnie, omijając na przykład panią leżącą na chodniku i malującą pomadką do ust przyczerniałe paluszki kończyn dolnych, znaleźć się nieoczekiwanie przed Museum Fridericianum (gdzie znajduje się centrum wspomnianej wystawy), stojące zupełnie blisko teatru i opery, niedaleko ogromnej, ażurowej ramy, którą na poprzednich „Documentach”, w roku 1977, zmontowali artyści wiedeńscy, a bank miejsowy zakupił, darując rzecz miastu — na wieczną pamiątkę swej reklamowej mądrości.

Kassel może zaspokoić niemal wszystkie ludzkie potrzeby i zainteresowania, ponieważ oprócz wymienionych wartości posiada: około 40 hoteli, ponad 20 pałaców z ekspozycjami i muzeów, sex-kina i knajpy prowadzone przez Niemców, co zrozumiałe, Jugosłowian, Węgrów, Hiszpanów, Włochów, Arabów i Azjatów, którzy oprócz Murzynów z armii amerykańskiej intensywnie koloryzują miasto, co odbywa się m.in. w ten sposób, że biała Greta włula głowę między uda czarnego Johna, usytuowanego nieco wyżej od niej, na murku przy Friedrichsplatz, gdzie zresztą gromadzą się młodzi ludzie o zamglonych spojrzeniach — kto wie, czy tylko od wina, pociąganego przez wielu z nich wprost z butelek, ale bez radości towarzyszącej choćby dziewczicom po nocy sprawnej inicjacji.

— Rzygać się chce od tej całej obfitości — wyznał mi pewien młody Turak, udając się szybko na stronę, zapewne w celu przeliczenia marek, które zarobił przy układaniu bruku między szynami tramwajowymi, gdzie po raz pierwszy miałem okazję go spotkać.

Zapewne, wszystko to nie warte byłoby żywej uwagi, gdyby nie fakt, że Kassel jest mniejsze od Lublina i leży zaledwie około 250 tys. obywateli, posiada tylko dwie szkoły wyższe i nigdy nie pełniło roli stolicy państwa. Takie przeliczenia, przynajmniej uczelnie, do niczego sensownego jednak nie prowadzą, kiedy bowiem przemyślimy do siebie przemysł obu miast, zobaczymy, że wśród 10 dużych zakładów tego nad rzeką Fulda znajdują się dwie fabryki samochodów: Daimler Benz AG oraz Volkswagenwerk Bannatal, w której zresztą już prawie ćwierć wieku pracował Czesław Szablewski, podczas gdy nad Bystrycą jest jedna. Pozyteczna wydaje się wszakże wzmianka, że ów zachodniemiecki ośrodek przemysłowy występuje jednocześnie w charakterze uzdrowiska, a dymy, jakie miały przyległość tam wdychać, ułatwiały się tylko z papierosów (4 DM paczka).

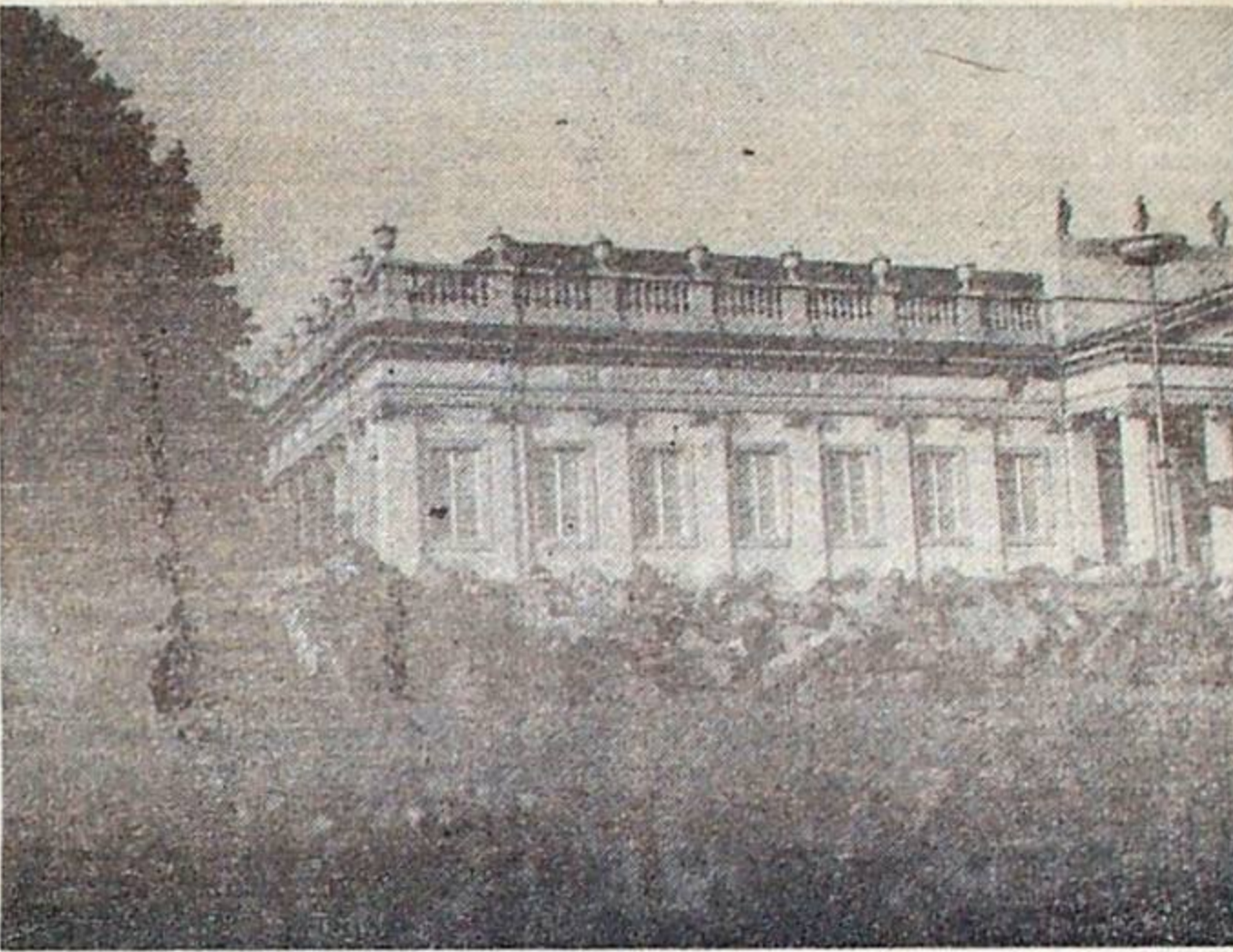
Kassel leży w kotlinie otoczonej łagodnymi wzgórzami, które pokrywa las. Zmierając doń od strony południowej, mijając szkołę policyjną z pierwszorzędnym boiskiem piłkarskim i bieżnią, trafimy na dwa cmentarze wojskowe z czasów pierwszej wojny światowej; na jednym leżą jeńcy z krajów brytyjskiej Wspólnoty Narodów, na drugim z Rosji. Przebywali oni w pobliskich obozach i zmarli na różne choroby epidemiczne. Na pierwszym rzuca się w oczy ład i porządek, indywidualne nagrobki z jasnego kamienia stoją w równiutkich szeregach, jak bataliony przed defiladą, udekorowane zielenią krótko przyciężonej trawy i kwiatkami. Na przypominającej bunkier i okazałej bramie widnieją dwujęzyczne tablice pamiątkowe, a w małym pomieszczeniu obok niej leży album, do którego wpisują się odwiedzający. Cmentarz żołnierzy rosyjskich jest zupełnie inny: wysokie stare drzewa, swobodnie rozrzucone po dość roz-

legiej przestrzeni, szepczą modlitwy nad kilkoma tylko znakami prawosławia, tyle że wielkimi jak niemieckie pomniki. Trawa tu bujniejsza, zachęca do wypoczynku, i zmierzwiła, ale chyba od czasu do czasu stykająca się z grabiami. Jakże nazwiska kryje ten miękki dywan, nie sposób się dowiedzieć.

Cmentarz brytyjski schodzi w samo centrum miasta: placowym fotomontażem, na którym jasne oddziały nagrobków atakują klasycystyczny gmach Museum Fridericianum, wzniesiony w drugiej połowie XVIII wieku pod auspicjami króla Fryderyka II, według planów architekta Simona Louisa Du Ry, który spora część zabrał w Kassel. Dla czego jednak autor plakatu nie posłużył się motywami z cmentarza żołnierzy rosyjskich? Dokładnie nie wiem, ale wyobrażam sobie psychologiczny efekt obrazowego natarcia krzyży prawosławnych na szacowny budynek, w którym pokazywano już co prawda wszystko, co zwie się sztuką współczesną, nawet wielki sterowiec z gondolą autorstwa Panamarenki („Documenta 3” z 1972 r.), ale takich obrazków — jeszcze nie. Zapomniany

nawet średniego wykształcenia, załatwiliśmy kiedyś pracę — zwyczajną, na miarę jego kwalifikacji, ale dającą utrzymanie. Po czasie poprosił o awans, o pomoc w przesunięciu na lepsze stanowisko. Załatwiliśmy i to. A potem znów mu się zachciało czegoś lepszego, lecz partia nie mogła mu już pomóc. W rezultacie rzucił legitymację SPD i zapisał się do chadecji.

Walter Fischer ma słabość do Polaków, przez jego dom przewinęły się dziesiątki, jeśli nie setki naszych rodaków, z czego wielu z Lublina, choć zachowanie niektórych nie zawsze zyskiwało uznanie gospodarza, zdumionego nadbystrzyckim tupetem. Ten dom jest piętrowy, lecz pomieszczeń mieszkalnych i gospodarczych ma tyle, że starczyłoby ich na wypełnienie trzech pięter. Budynek zaprojektował sam właściciel, sposobiąc się do ożenku z panną spod Homburg.



Przed Museum Fridericianum Joseph Beuys ułożył kilka tysięcy kamieni...
Fot. ze zbiorów autora artykułu

Jest więc cmentarz rosyjski, tak jak zarasta dekoracyjnym krzaczkiem metalowa rzeźba Wadima Sidura „Don Optern der Gewalt” (1974), postawiona niedaleko drogi restauracji, w której śledź po rosyjsku z chlebem (mogą być kartofle z buraczkami) kosztuje 9,5 DM, czyli tyle ile trzeba wysupłać na tenisówki z przeceny. Zredukowana do form elementarnych, przyduszona do ziemi figura człowieka ulega redukcji poza artystyczną.

Kassel leży w Hesji, gdzie rządzi SPD, tracąca jednak swoje wpływy w społeczeństwie, zdenerwowanym rosnącym bezrobociem i stałą wyższą kosztów utrzymania (miesięczny czynsz za czteropokojowe mieszkanie w osiedlu związków zawodowych sięga 600 marek, z garażem — 850 DM, podczas gdy średnia zarobków wynosi ok. 2400). Dla ludzi piszących o polityce jest to zapewne szczegół bez znaczenia, ja jednak mogę poinformować, że siedzibę kasselską SPD obłano niedawno szpetną farbą i obrzucono jajami.

— Czym różni się obecna SPD od tej sprzed lat dwudziestu? — zapytał pana Waltera Fischera, który do partii socjaldemokratów należy ponad ćwierć wieku, a całe swoje dojrzałe życie pracował w wydziale finansowym starego i wyjątkowo pięknego miasteczka Homburg, niecałe 40 km od Kassel. Jak wielu jego rówieśników, których wiek męski przypadł na czas wojenny, tak i mój rozmówca zna co nieco język rosyjski.

— Trudna odpowiedź.

— Proszę jednak spróbować. W zamian powiem, czym różni się dzisiejsza PZPR od tej sprzed lat.

— Widzi pan, kiedyś ludzie wstępowali do partii z pobudek ideowych, a teraz pytają, co z tego będą mieli. Pewnemu człowiekowi, który nie miał

wych w RFN, nawołując do redukcji wielkiego przemysłu, stawia veto wobec przeciągania przez Republikę nowych autostrad, propagując zarazem powrót do rzeczy pierwszych, do prostych form organizacji życia zbiorowego i takich metod produkcji. Prym w ruchu wiedzie inteligencja, intelektualści i artyści, szerokie rzesze wyznawców „zielonych” znajdują wśród młodzieży, wspomaganą nawet przez nauczycieli, co zresztą szczególnie gorzko i zdumiewająco przeciętnych Niemców, którzy przy tej okazji nie tylko podnoszą kwestię lojalności pedagogów wobec instytucji państwa, ale mimochodem przypominają ich zarobki: 3500—4000 DM miesięcznie. W oczach wielu obywateli RFN program „zielonych” jest synonimem postawy irracjonalnej czy wręcz idiotycznej wobec sytuacji politycznej w świecie i faktu malejących zasobów surowcowych kraju. Zgoda na pomysły tego ruchu, argumentując, to w pewnej perspektywie czasu zgoda na uzależnienie się gospodarze Republiki od Trzeciego Świata, który dysponuje wielkim bogactwem różnorodnych surowców. A jakim cudem „zieloni” zamierzają rozwiązać bolesny problem bezrobocia? Powrotem do rękodzieła i gospodarstw rolnych pracujących właściwie tylko na własne potrzeby?

Kiedy Beuys, korzystając z finansowego wsparcia jednej z fundacji artystycznych, ułożył na placu Fryderyka stos kilku tysięcy bazaltowych głazów, publicznie zadano pytanie, czy aby nie są one radioaktywne. Kiedy na szczycie tego kamiennego trójkąta posadził młode drzewko (dąb), element integralnie związany z całym przedsięwzięciem, polegającym w zamysle na zniknięciu poszczególnych głazów z placu w rytmie proporcjonalnym do sadzenia — przez każdego, kto zechce — kolejnych drzewek, kiedy więc już udeptał sięmię wokół rośliny i wygłosił kilka słownych kwestii, prasa CDU zarzuciła artyście, że wykorzystuje sztukę do celów politycznych. Później zaś gazety SPD ogłosiły, że Beuys w sposób niezgodny z normami życia politycznego Republiki ludzi przeciwko tej właśnie partii. Przy okazji rozgłasza się plotki (7) o wielkich talentach artysty w dziedzinie... finansowej, mówiąc ogólnie. Podobno wykupił on stare domy w Berlinie Zachodnim, burzy je i stawia nowe, czerpiąc ostatecznie z tego proceduru spore zyski.

— No i dobrze — skomentował historyjkę pewien polski konceptualista, Wincenty D., którego spotkałem w Kassel, gdzie przebywa „na stypendium miasta Oldenburga, mogą pracować w innych ośrodkach”. — Bo i dlaczego artysta nie miałby być człowiekiem zamożnym?!

Společną pozycję Beuysa i jej uwarunkowania najlepiej chyba określono w jednym z wydawnictw, jakie ukazały się z okazji „Documentów”: „Jako rzeźbiarz i rysownik jest [on] rzeczywiście artystą stulecia. Ale przez swoje nieustanne tyrady ekologiczne i społeczno-polityczne pamflety niszczy wiele z tego, co przynajmniej mu chętnie jako artyście”. Te zdania wydrukowano w formie cytatu z opinii publicznej, w kolejnych partiach artykułu życzliwie naświetlając idee i działalność Beuysa, który „właśnie jako artysta i przede wszystkim jako artysta był w stanie wkroczyć w ekologiczne i społeczno-polityczne dyskusje, ponieważ wniósł do tych rozważań swoje specyficzne zdolności postrzegania i kształtowania. Wydają się tego nie rozumieć i sami zaangażowani ekolodzy, którzy przypuszczają, że Beuys wniósł się do ich dyskusji po to, by wyprofilować się jako artysta”. Widać, że i wśród „zielonych” aranżer słynnego happeningu w zachodniobermberskiej Galerie René Block, zsynchronizowanego w czasie z akcją nowojorską Roberta Morrisa, nie cieszy się pełnym zaufaniem. Ale mówi się o nim i pisze dużo; nie tak dawno monachijskie Prestel-Verlag opublikowało ładny album z komentarzami Sammlunga Marxa, prezentujący takich artystów, jak: „Beuys, Rauschenberg, Twombly, Warhol”. Poza drugim, wszyscy oni biorą udział w tegorocznej imprezie w Kassel, zlokalizowanej w trzech zabytkowych obiektach: wspomnianym Fridericianum, Orangerie i Neue Galerie oraz w parku angielskim Karlssau, gdzie nad strumieniem widnieje kamienna czasza „Igloo” Włocha Mario Merza, zbudowana z rdzawych płytek i tak naturalna w tej scenerii, jak pobliskie stare drzewa, nakryte kopalnymi liśćmi i rozgadanych ptaków. Na trawie wylegają się lub śpią młodzi ludzie z różnych stron RFN i Europy, lecz doprawdy nie wiem, czy zastąpił ich tam można nocą, kiedy parkowe łaki przemierzają konne patroli policji.

(Dokończenie nastąpi)

Los Polacos

Waldemar Piasecki

TEMAT Polaków na Mundialu został mi zadany przez redakcyjną juntę, czyli po polsku — kierownictwo. Oprócz tego ma być jeszcze ciekawie, sensacyjnie, pikantnie i w ogóle tak, jak inni koledzy-zurnaliści, obecni w Hiszpanii, nie pisali. Chodzi zatem o rzecz prawie niemożliwą. Presji uległem, choć nie bez oporów, bo wolałbym pisać, jak się zostawało mundialową hosteską w Madrycie, w którym ponad 70 proc. młodzieży po szkole i studiach nie ma co robić. Przyjdzie czas, może napiszę...

A teraz do rzeczy. Zaczęć od dość niepopularnego stwierdzenia, że sukces polskiej piłki na Mundialu był tyleż niespodziewany, co ponad miarę poziomu naszej drużyny prezentowanego na boiskach Vigo, La Coruny, Barcelony i Alicante. Jeśli ochłonęliśmy Czytelnicy po tym „obrazoburstwie”, postaram się je wyjaśnić.

W sporcie, podobnie jak w życiu, nie ma pełnej sprawiedliwości. Wygrywa nie zawsze najlepszy i nie ten, co gra najpiękniej, walczą najdzielniej, dają z siebie najwięcej. Często nagroda sukcesu przychodzi za kunktatorstwo, cwaniactwo. Dużo mówilo się i pisało, że Niemcy nie zasłużyli na drugie miejsce, że Brazylii przeskodził pech i słabsza dyspozycja w meczu z Włochami, że w finale powinna grać Francja. Itd. Nie było jakoś nic o Polakach. Uznano trzecie miejsce za sukces w pełni nam należny i tylko z rzadka wypowiedziano się o stylu naszych piłkarzy. Używano natomiast w nadmiarze określeń, że drużyna Piechniczka powtórzyła sukces drużyny Górskiego. Ejże, nie sukces, a wyniki! Czyżby pamięć nie dopisywała? W RFN-ie wygraliśmy z Argentyną, Włochami, Haiti, Jugosławią, Szwecją, Brazylią. Przegraliśmy tylko z gospodarzami. Styl, jaki pokazaliśmy wówczas, był rewelacją i pretekstem do mówienia o „polskiej szkole futbolu”. W jedenastej światła znaleźli się Tomaszewski, Deyna, Lato, Gadocha. W Hiszpanii rozegraliśmy również siedem gier, pokonując Peru, Belgię i Francję. Zremisowaliśmy z Włochami, Kamerunem i ZSRR oraz przegraliśmy z Włochami. Jedynie w meczach z Peru i Belgią polscy piłkarze pokazali styl sprzed ośmiu lat. Zabrakło dyrygenta i konstruktora gry typu Kazimierza Deyny oraz napastników takich jak Lato, Szarmach, Gadocha (w ówczesnej formie). W prowadzeniu drużyny na Mundialu brakowało przejrzystości koncepcji gry. Brakowało też, o czym zaczynamy się powoli dowiadywać, atmosfery monolitu i muszkieterskiego „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

Zanim pójdziemy dalej, proponuję przesłanie tabelki, szeregującej drużyny według średniej liczby punktów zdobytej w meczu.

1. Brazylia 5 gier 8 pkt. średnia 1,60 15-6 (+9)
2. Anglia 5 gier 8 pkt. średnia 1,60 6-1 (+5)
3. Włochy 7 gier 11 pkt. średnia 1,57 12-6 (+6)
4. Polska 7 gier 9 pkt. średnia 1,29 11-5 (+6)
5. ZSRR 5 gier 6 pkt. średnia 1,20 7-4 (+3)
6. Francja 7 gier 8 pkt. średnia 1,14 15-12 (+3)
7. RFN 7 gier 8 pkt. średnia 1,14 12-10 (+2)

Powyższe obliczenia wykonałem tuż po zakończeniu finału na Santiago Bernabeu. Pokazałem je następnie kilku znajomym Hiszpanom oraz kilku dziennikarzom akredytowanym przy Mundialu. O dziwo, większość zgodziła się, że „zimna” statystyka lepiej oddaje obraz i poziom gry niż wyniki ostateczne. Zwracali uwagę, że jedynie Anglia mogłaby zamienić się miejscem z Francją i wówczas byłoby o.k.

Dla mnie zestawienie to znacznie sprawiedliwiej oddaje również osiągnięcia naszej drużyny. Co nie oznacza, że trzecie miejsce i srebrny medal mnie martwią. Owszem, cieszą mnie, jak każdego Polaka i kibica! Nie musi to jednak oznaczać, że bielmo euforii przysłonił mi fakt, iż futbol kreatywny Brazylijczyków jest sprawą bardziej przyszłościową niż gra Polaków.

Z innej nieco beczki. Wiele komentarzy wzbudza tzw. kuliszy pobytu w Hiszpanii ekipy polskiej. Kulisy kulisami, zawsze podobne zainteresowanie towarzyszy takim imprezom, ale dziwne wydaje się, że niektórzy działacze PZPN robią wszystko, aby podtrzymać atmosferę enigmaty, niedomówień i — nazwijmy to — smrodku, alergicznie reagując na dziennikarskie próby dotarcia do sedna pewnych spraw. Może jestem ciekawskim facetem, ale chciałbym wiedzieć, na ile jest prawdą, że drużynę ustawiał Boniek, a nie Piechniczek; dlaczego zabrakło miejsca w ekipie dla fizjologa, co miało fatalne skutki dla Waldemara Matysika (niewykluczone, że na boisku już go nie zobaczymy) oraz pośrednio dla Andrzeja Iwana i Piotra Skrobowskiego; dlaczego pomijany był w składzie Andrzej Szarmach? Itd.

Nie powinno się robić tajemnicy z mundialowych rozliczeń, skoro tajemnicą poliszynela jest, że na premie przeznaczono łącznie 130 tysięcy dolarów dla zawodników oraz 10%, czyli 13 tys. „zielonych” dla trenerów. Zawodnicy, którzy rozegrali wszystkie mecze, 630 minut, a to: Młynarczyk, Janas, Majewski, Żmuda, Buncol i Lato, dostali po około 10 tysięcy. Za poszczególne zaś fazy rozgrywek płacono: 40 tys. za eliminacje w Vigo i La Corunie, 50 tys. za Barcelonę i 40 tys. za III miejsce (czyli praktycznie za 3:2 z Francją). Czy nie można o tym powiedzieć jasno, wyraźnie, po ludzku? Czy społeczeństwo

nasze jest tak ciemne, że nie zrozumie lub że się oburzy? Na kogo i za co? W czasach, kiedy nasi specjaliści na prywatnych kontraktach zarabiają po 2 tysiące dolarów w Afryce, wkładając w to chyba mniej potu i zdrowia niż piłkarze, a i robić to będą dłużej niż dajmy na to Kupcewicz czy Ciołek, czegoż piłkarzom żalować? Ciężko zapracowali na swoje „zielone” i słusznie im się one należą, zwłaszcza, że PZPN zgarnie z całą pewnością powyżej 3,5 mln dolarów, czyli nikt nikomu „od ust nie odejmie”.

Inną ze „słodkich tajemnic” jest, na przykład, nocna eskapada Bońka, w przeddzień meczu z Włochami. Rzecz miała się tak... W gronie hostess przeszkolonych do obsługi Mundialu nie znaleziono żadnej znającej język polski. Zapewne nie spodziewali się organizatorzy, że wychylimy nos poza Galicję (tę hiszpańską). Stało się inaczej. Już w Barcelonie usilnie szukano jakiejś dziewczyny z polskim i znaleziono. Elżbieta McGurk jest młodą, dobrze zbudowaną dziewczyną. Wyjechała z Polski do Anglii i tam wyszła za Szkota, który obdarzył ją typowo szkockim nazwiskiem, ale chyba niczym więcej, bo przed rokiem znalazła się w Barcelonie, gdzie mieszka do dziś. Przystojna blondynka została hosteską „przydzieloną” do obsługi polskiej ekipy. Praca jej polegała na towarzyszeniu hiszpańskojęzycznym ekipom prasy, radia i telewizji oraz tłumaczeniu rozmów z Polakami. W czasie jednej z wizyt w Collbato, gdzie miała swoją bazę nasza drużyna, ekipa hiszpańskiej TV odwiedziła piłkarzy na basenie. Boniek, zdając się na Młynarczykiem, złapał na ręce hosteskę i wrzucił, w ramach dowcipu, do wody. Tak jak stała, w gustownym żółto-czerwonym wdzianku. Śmiechu było przy tym trochę, a i sama Ela McGurk nie robiła z przygody problemu. Przebrała się w piłkarski dres i poczekała, aż ubranie zostanie wysuszone i wyprasowane.

Oczywiście „szakale” podchwycili temat i nazajutrz prasa podała informację o wydarzeniu w rubrykach mundialowych plotek.

Po żółtej kartce w meczu z ZSRR Boniek miał „z głowy” występ przeciwko Włochom. W nocy zniknął z Collbato. Około północy został rozpoznany w modnej barcelońskiej dyskotekce „Up and Down” w towarzystwie Elżbiety. Oczywiście zaczęła się „impreza”. W tym znaczeniu, że wszyscy zapragnęli napić się drinka z naszym gwiazdorem. Przed czym dzielnie się obronił. Zbyszek i Ela przetańczyli noc, a rano radio i gazety doniosły o fakcie. Jak w takich przypadkach, zaczęły się komentarze. Niby drobni, rzecz zwyczajna... Ale znowu otaczana jakąś tajemnicą. Po co? Nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzy, że Boniek „wyparował” z „Centro Formacion Gispert” w Collbato bez niczyjej wiedzy, że ominął strażę policyjną, od których dosłownie się roilo, i wreszcie autostopem pojechał 48 km do Barcelony, aby sobie potańczyć. Znacznie prawdopodobniejsza wydaje się wersja, że po prostu mu „odpuszczono”, wiedząc, że nazajutrz nie zagra.

Na madryckim lotnisku Barajas, przed odlotem do kraju, Boniek ostro nacierał na jednego z polskich dziennikarzy, który podobno go w „Up and Down” rozpoznał i zrobił z tego sensację.

— Przecież panu powiedziałem, że jestem prywatnie. Powinien pan wiedzieć, co to znaczy... — czynił wymówki, stukając o ziemię mundialową piłką „Tango-Addidas”.

Dziennikarz się tłumaczył, ale naszego asa nie udobruchał. Inni koledzy z drużyny żartowali, że Boniek boi się żony.

W gronie kilku osób zastanawialiśmy się na marginesie tych wymówek, jak powinien zachować się dziennikarz w takiej akurat sytuacji. Informować czy nie? W zachodnim dziennikarstwie jest to problem teoretyczny, bowiem żadnemu Litbarskiemu czy Platiniemu do głowy by nie przyszło, żeby wmawiać jakiemuś kolewki żurnaliście, że „on tu jest prywatnie”. Skoro dyskoteka to miejsce publiczne, gwiazdor piłkarski to osoba publiczna (chce czy nie), a dziennikarz jest od informowania publicki, problemu nie ma. Zobaczyłeś mnie bracie, to pisz. Twój fach, twoje prawo. Zresztą wliczone jest to w rachunek publicity. Sam w 1980 roku przeprowadziłem rozmowę z Guillermo Villasem, który przypadkowo pojawił się na widowni kortu w Nicei, podczas mistrzostw Europy juniorów, i nie robił problemów z „prywatnością”. No dobrze, a jak to u nas, Polaków? Kto to wie? Jeden z kolegów zażartował, że Boniek powinien zażądać od dziennikarza słowa honoru, albo przysięgi na Boga w niebie i sprawy by nie było. Mnie się wydaje z kolei, że nasz piłkarz, którego skądinąd lubię, musi się szybko w Turynie paru spraw nauczyć...

Taka jest tajemnica eskapady, o której w Polsce wiadomo podobno głównie z nasłuchu dywersyjnych rozgłośni. A poza tym refleksja, że słowa piosenki Łazuki w jakiś sposób się spełniły. Boniek istotnie wyskoczył w uliczkę w Barcelonie. Tylko, na miłość boską, nikomu tego nie powtarzajcie.

Co by tu jeszcze „sprzedać” z kulis?

Koniecznosc o Grzegorz Lato, bez wątplenia najlepszym polskim piłkarzu podczas „Espana '82”. Najładniejszą rzecz ujęła jedna z hiszpańskich gazet, pisząc, że Lato jest jak wino; im starszy, tym lepszy. Istotnie „Divino Calvo”, jak go Hiszpanie nazwali (po polsku „Boski Łysy”), pokazał na stadionach Mundialu, co to znaczy grać oraz jaki może być głębszy sens walki do upadłego. Lato cieszył się w drużynie najwyższym autorytetem i jego słowa dla chłopaków z drużyny wiele ważyły. Był on też jedynym w drużynie, który potrafił opieprzyć na boisku Bońka, co ten ostatni przyjmował bez sprzeciwu i protestu. Grzegorz Lato pełnił podczas mistrzostw funkcję przewodniczącego rady drużyny i z tej roli wywiązywał się wzorowo. Wykazał się także niemałym talentem dyplomatycznym, kiedy przed meczem z Peru trener Piechniczek zwrócił się do rady drużyny o sugestie co do gry i składu. „Veterano Lato”, zdecydowanie broniąc się przed wypowiedzianiem opinii na temat kolegów i taktyki, miał wówczas oświadczyć, że jest to sprawa Piechniczka, bo on odpowiada za skład i koncepcję gry, a piłkarze za wynik.



Młynarczyk, który bronil pewnie.

Fot. W. Piasecki

Przed odjazdem do kraju przez blisko pół godziny rozmawialiśmy z Grzegorzem Lato. Myślę, że warto przytoczyć fragment:

— Osiągnął pan chyba największe spośród polskich piłkarzy. Za kilka minut po raz ostatni będzie pan wracał z reprezentacją kraju po zwycięskich meczach. Nie żał trochę?

— Widzi pan, ja myślałem o tym tuż po meczu z Francją. Moim ostatnim w koszulce z „Białym Orłem”. Szybko to jakoś zleciało i trochę jednak żał... Tak! wszak jest los piłkarza i naturalna kolej rzeczy.

— Czy jest pan zadowolony?
— Trudno nie być zadowolonym. Trzy mistrzostwa świata, dwie olimpiady. 103 mecze w reprezentacji...

— Co dalej?
— Nie mam dalekowzrocznych planów. Pogram jeszcze 2-3 lata w „Lokkeren” i zejść z boiska. Nie chcę ciągnąć tego dłużej niż do 35 lat.

— A potem?
— Wrócę do kraju. Być może zajmę się szkoleniem. Ale tylko młodzieży. To mi może dać największą satysfakcję...

Tak odchodzą naprawdę najwięksi sportowcy.

Największą niespodzianką „in plus” drużyny polskiej był z pewnością Józef Młynarczyk. Bronił pewnie i za żadną cenę nie puszczony bramki wina nie ponosi. Do liderów towarzyskich drużyny „Młynarz” nie należał. Nie brylował dowcipem. Nie chciał być ośrodkiem zainteresowania. Podczas pobytu w La Corunie znalazł pierścienek, nie wartościowego. Chłopaki powiedzieli, że z pewnością przyniesie mu szczęście. Od tej chwili zabierał go na każdy mecz. Raz nawet zatrzymywano autobus, gdy go zapomniał. Młynarczyk zakochał się wprost w piosenkach Julio Iglesiasa, które na jego specjalne życzenie puszczał bez przerwy w autobusie kierowca. Józek twierdził, że słuchanie to bardzo dobrze mu robi, a koledzy nie oponowali, żeby go nie denerwować. No i Iglesias prześladował ich do końca Mundialu. Największym marzeniem Młynarczyka był występ przeciwko Brazylii. Bardzo na to liczył, bo chciał się wykazać w konfrontacji ze znakomitymi strzelcami: Zico, Ederem, Socratesem. Nie wyszło. Jak mnie zapewniał, Włochów można było ograć przy lepszej dyspozycji. Rossi, którego w dniu meczu pilnował Janas, był nie do uchwycenia. (A swoją drogą Janas nie czuł się najlepiej). Najtrudniej grało się Młynarczykowi z Francją, bo stawka była wysoka i bał się cholernie popełnić na koniec jakiś głupi błąd. A teraz po wszystkim? Jest szczęśliwy, bo jak nie być... Żał mu tylko, że nie dostał żadnych konkretnych propozycji transferowych. A najbardziej chciałby grać we Francji.

Godzi się wspomnieć jeszcze o Andrzeju Szarmachu, dla którego Mundial był (lub miał być) tym, czym dla Włodzimierza Lubańskiego mistrzostwa argentyńskie. Dziwnym zbiegiem „okoliczności” jego gra trwała zaledwie 155 minut. Pokazał jednak, co potrafił, w meczu z Francją, który grał od początku do końca. W chwilach wolnych „Diabeł” chodził łowić ryby w towarzystwie Włodzimierza Smolarka. Raz nawet w La Corunie poszczęściło im się tak, że starczyło po kawalku ryby dla każdego na kolację. Szczególny szacunek Szarmach wzbudził po meczu z ZSRR, kiedy podczas kolacji powiedział: „Cała Polska szaleje pewnie ze szczęścia. Żeby tylko nie narobiło się jakichś kłopotów...” Miał do tego pełne podstawy, bowiem meczowi chcieli niekiedy na siłę nadać posmak sensacji, czy nawet konfrontacji politycznej.

Na koniec chciałbym poświęcić kilka słów attaché drużyny Wiesławowi Kasprzakowi, konsulowi PRL w Madrycie. Ow kibic i pasjonat futbolu związany był z Mundialem od chwili losowania grup, do odjazdu ekipy. Tak się złożyło, że w 44-osobowej grupie polskiej nikt nie znał języka hiszpańskiego i na głowie Kasprzaka właśnie były wszelkie kontakty z organizatorami i władzami FIFA. Ile kosztowało go to zdrowia i wysiłku, wie chyba tylko on sam. Oprócz oficjalnych kontaktów Wiesław Kasprzak służył radą i pomocą w zakupach, wycieczkach. Przetłumaczył ponad sto rozmów i wywiadów naszych piłkarzy i trenerów dla prasy, klócił się z „Mundiespaną” o ceny hoteli, o jakość jedzenia, o transport itd. Moim skromnym zdaniem, jego udział w powodzeniu eskapady jest większy niż się może zdawać i niż można przeczytać w prasie. Pozostanie dlatego cichym autorem sukcesu organizacyjnego.

MOWIENIE o akupunkturze przypomina klaskanie słowika, którym nikt nie przejmuje się, chociaż go słucha. Bo jakże przyjemnie usłyszeć dużo o tym, co do niedawna nieśmiało dopraszalo się laski pańskiej, czyli resortu zdrowia — żeby zostało oficjalnie uznane. Prawie zostało i co z tego? Do ubiegłego roku przeszkoliło się u profesora Zbigniewa Garnuszewskiego 200 lekarzy, w ciągu pięciu lat może przybyć krajowi 400 znawców leczenia akupunkturą. Czy to dużo, waznyższy, że jesteśmy w kryzysie, a leczenie tą metodą jest tanie, nieszkodliwe i czasem skuteczniejsze od leczenia tradycyjnego?

Dotychczas oprócz warszawskiej Poradni Leczenia Akupunkturą powstało parę Ośrodków Walki z Bólem: w Warszawie, Gliwicach, Łodzi, Poznaniu i Szczecinie. Był taki ośrodek i w Lublinie, ale krótko. Oczywiście jest też w Lublinie kilkunastu lekarzy uprawiających akupunkturę, ale rozproszeni po klinikach, niezbyt u-

gusą pokrywano cienką warstwą wosku i wypełniano wodą zabarwioną na czerwono. Student musiał bezbłędnie trafić igłą w odpowiednie otwory.

Rozkwit akupunktury skończył się z chwilą objęcia władzy przez dynastię mandzurską Ts'ing w 1644 roku. Walcząc z dawną nauką i kulturą, zaczęto niszczyć akupunkturę, zarzucając jej... zbytnią prostotę i niskie koszty leczenia. Ostatecznie zakazano akupunktury na początku XIX w. i dopiero w 1949 roku, po zwycięstwie rewolucji, została ona zrównana z innymi metodami leczenia. Zresztą faktem jest, że w czasie wojen domowych i wojny narodowo-wyzwoleńczej z Japonią akupunktura okazała się niezwykle przydatna w ratowaniu żołnierzy i ludności cywilnej. Tym skwapliwiej wprowadzono ją do wszystkich szpitali, ośrodków zdrowia, a także do szkół medycznych wszystkich stopni.

W 1958 roku zaczęto w Chinach stosować akupunkturę do celów ane-

wlosowatych w chorzym narządzie i chorej tkance, do żywej cyrkulacji świeżej krwi nasyconej tlenem i substancjami odżywczymi. Dzięki poprawie krążenia chory narząd oraz tkanka oczyszcza się z produktów przemiany materii, odkwasza i odżywia. Natomiast mechanizm działania przeciwbólowego jest inny i funkcjonuje na trzech piętrach układu nerwowego: w rdzeniu kręgowym, pniu mózgowym i w korze mózgowej. Znacznie wspomaga go wiara w skuteczność akupunktury, również działająca na korę mózgową i również hamująca odczuwanie bólu. W ostatnich latach skutki nakłuwania zaczęto tłumaczyć z punktu widzenia biochemii. Poprzez nakłucie uwalnia się z komórek mózgowych neurohormon — endorfina, która usmierza ból silniej od morfiny. Tak czy owak, dla przeciętnego śmiertelnika liczy się tylko nakłucie, a raczej ich seria, po której mijają dolegliwości.

Na powierzchni ciała ludzkiego znajduje się ponad 1000 punktów aku-

Akupunktura

- tanio i dobrze

Anna Bocian

dzielają się powszechnemu lecznictwu. Dr Jerzy Czornyj ze Szpitala Kolejowego, który jesienią pojedzie na kurs akupunktury III stopnia, a następnie po przeszkoleniu praktycznym zostanie licencjonowanym akupunkturzystą, twierdzi, że jest obecnie tendencja uprawiania akupunktury przez lekarzy w ich dotychczasowej specjalności. Jako neurolog ma on o wiele więcej szans skutecznego leczenia, uzupełniając je metodą mądrych Chińczyków. Ale leczenie akupunkturą dotarło już do Spółdzielni „Lekarz” przy ul. Kowalskiej... Więc może nie będzie tak źle i igłami będzie się likwidować nie tylko dolegliwości, wobec których medycyna jest bezradna, lecz kiedyś i zwykłe choroby?

Oby, bo coraz częściej lekarze rozkładają ręce w przypadku nietolerancji leków i w stanach uczuleniowych. Nasza medycyna nie potrafi między innymi skutecznie leczyć przewlekłych bólów głowy, przewlekłych nerwobólów, nerwie wegetatywnych, ma duże trudności w leczeniu dychawicy oskrzelowej, moczenia nocnego i przewlekłego zapalenia zatok obocznych nosa. Radzi temu akupunktura, która również leczy nadeśnienie, niektóre postacie przyzępienia słuchu i likwiduje nałóg palenia tytoniu.

Historia akupunktury, którą wykonywano na terenie dzisiejszych Chin już w epoce kamienia łupanego czyli około 30 tys. lat przed nową erą — jest niezwykle pouczająca. Akupunktura stała się dojrzałą wiedzą za czasów legendarnego Zółtego Cesarza Huang Ti, który wynalazł kompas, zainicjował alfabet chiński, skonstruował przyrząd do mierzenia czasu, udoskonalił metody konstrukcji dróg, a zwłaszcza pasjonował się medycyną. Do historii przeszło życzenie cesarza, aby mieszkańcy Chin leczenia byli wyłącznie „tajemniczymi igłami z metalu, które kierują energią”. Za rządów dynastii Han i Ts'in akupunktura była popierana. W VIII wieku utworzono Wydział Akupunktury w Cesarskim Kolegium Medycznym. Przez wiele stuleci studenci uczyli się tej metody na brązowych figurach ludzkiej wielkości, wewnątrz pustych, na których powierzchni zaznaczano kanały energetyczne i wywiercano 657 otworów odpowiadających tzw. punktom życiowym. Przed egzaminem fi-

stejzjologicznych. Udowodniono, że jest to postępowanie bezpieczne również dla osób ciężko chorych i w podeszłym wieku, w przypadkach, gdy anestezja konwencjonalna wymagałaby dużej ostrożności. Dzisiaj większość operacji w Chinach (w obrębie klatki piersiowej, jamy brzusznej i jamy nosowo-gardłowej) wykonuje się ze znieczuleniem akupunkturą. Podobnie w Wietnamie, częściowo w Korei, ale w Europie anestezjologowie niepewni igieł uzupełniają ich działanie lekami znieczulającymi, a nawet narkozą wzięną.

W Polsce prekursorem akupunktury był Józef Domaszewski, który pierwszy tekst na jej temat opublikował w Krakowie w 1830 roku. Niestety, do tej pory nie doczekaliśmy się polskiego podręcznika akupunktury. Tak więc obecne zainteresowanie „tajemniczymi igłami” zawdzięczamy wyłącznie entuzjastom. Być może dzięki nim pewnego dnia skończy się u nas badanie wartości terapeutycznych tej metody i podobnie jak we Francji, RFN, Kanadzie, Finlandii, ZSRR, Czechosłowacji, Rumunii, Bułgarii, Austrii — zacznie się ją stosować na szeroką skalę.

Dla Europejczyka, który lubi stawiać pytanie „dlaczego”, mechanizm działania akupunktury wciąż pozostaje problem ten po prostu ominęli; najpierw wypróbowali wiele punktów akupunkturów, następnie dopasowali do swych spostrzeżeń teorie. Znana jest legenda o człowieku skaleczonym w nogę odłamkiem kamienia, którego przestała boleć głowa. Stąd wziął się pierwszy pomysł nakłuwania igłami krzemieniowymi i z ości ryb w poszukiwaniu innych zależności między odległymi od siebie miejscami ciała. Według filozofii chińskiej, lekarz nakłuwając punkty na ciele pacjenta po to, żeby przywrócić równowagę między poszczególnymi organami. Lecząc więc żołądek, nakłuje punkty na palcach u nóg oraz na stopach, gdzie znajdują się południki, zwane meridianami, dostarczające energię życia w pobliże żołądka. Ale z naukowego punktu widzenia przy obecnym stanie wiedzy mówi się, że akupunktura terapeutyczna działa leczniczo na drodze odruchowej.

W wyniku nakłuc — jak pisze prof. Garnuszewski — dochodzi do rozszerzenia drobnych tętniczek i naczyń

punktury, odznaczających się szczególnymi cechami: niższym oporem elektrycznym, wyższą pojemnością elektryczną i wyższym potencjałem w porównaniu z otaczającą skórą. Początkujący akupunkturzyści mogą więc posługiwać się specjalnymi przyrządami umożliwiającymi bezbłędne ich wskazanie. Punkty te rozmieszczone są wzdłuż przebiegu kanałów energetycznych — meridianów, których jest 12. Każdy odpowiada jednemu narządowi: płuc, żołądkowi, śledzionie i trzustce, wątrobie, nerce, woreczkowi żółciowemu, jelitu cienkiemu, jelitu grubemu, pęcherzowi moczowemu i osierdzu. Meridiany przebiegają symetrycznie po obu stronach ciała: wzdłuż kręgosłupa i kończyn. Są też dwa meridiany biegnące w środkowej linii ciała. Powodzenie terapii zależy od znajomości topografii punktów aktywnych oraz meridianów.

Jak twierdzi dr Jerzy Czornyj, akupunktura jest sztuką tworzenia kompozycji leczniczych. W zależności od potrzeby można nakłuć punkty uspokajające, tonizujące, będące kondensatorami energii. Można wbić igłę w miejsce bolesnym, obok lub w dużej odległości, można też całkiem znieść działanie akupunktury. Chcąc je wzmocnić, stosuje się aparaty elektryczne, które potęgują bodźce (elektroakupunktura, akupunktura laserowa). Znane są nawet przypadki stosowania akupunktury w sporcie jako zabiegu dopingowego.

Jednak przede wszystkim trzeba pamiętać, że z reguły leczeniem akupunkturą traktuje się pacjentów, wobec których zawiodły tradycyjne metody, a skuteczność jest tym większa, im wcześniej zgłosił się chory. Obecnie, gdy wielu zawiędzionych pacjentów szuka pomocy u zielarzy, kregarzy, naturalistów, a nawet znachorów, a oficjalna medycyna także zaczyna dostrzegać walory medycyny ludowej — Światowa Organizacja Zdrowia potraktowała akupunkturę jako jedną z metod, której należy się renesans. Czy jednak w Polsce przyjmie się akupunkturę z otwartymi ramionami — nie ma pewności. Można mieć tylko nadzieję.

JA wlażem ostatni, to i widziałem ich pięć głupich dziobów uszeregowanych nad brzegiem kuba jak na ścianie u fotografa. Gustlik gapił się, jak zawsze nadęty. Gdyby nie to, że jakiś motor huczał i wszystko zagłuszał, to by z tego kuba kaganie wygłosił o spóźnieniu się. Sinobrody spał z otwartymi oczami. Wyszedł ode mnie na swoich nogach, ale na pewno gdzieś dołał do pełności. Fizyczny, jak zawsze obojętny. Z tą samą miną zjeżdża do szybu, z jaką maszerował na pierwszomajowym pochodzie i z jaką podpisywał wyrok w uesce. Krzok, gdyby nie to, że miał helm na łbie, to by się drał, jak to miał we zwyczaju, kiedy mu się zdawało, że myśli. Bo się właśnie było nad czym zastanawiać. A Dziezdzic, obrażony, wodził galami po bokach, żeby mi w oczy nie spojrzeć, taki wściekły o to mieszkanie. A ja, cholera, już bym wolał mieszkania nie dostać, niech by się nim Dziezdzic udawał, żeby tylko nie mieć tych kłopotów, jakie mi przez nie i przez Dziezdzica spadły na głowę. Kombinujesz, człowieku, zabiegasz, męczysz się, podkładasz, jak trzeba, innym świnię, żeby sobie zrobić lepiej, a potem się wszystko obraca przeciwko tobie. A tu do tego — jakaś awaria, potrzebna mi właśnie w tym momencie jak wrzód na dupie.

Jeżeli już coś miało się przydarzyć, to każdego dnia, byle nie tego, kiedy się przydarzyło, to znaczy — dzisiaj. Jeśli chodzi o mnie, to rzadko mam okazję zastanawiać się nad sensem tego, co widzę i co sam przeżywam. Przeważnie zajmuję się tym w kuble, kiedy zjeżdżam do szybu, albo z niego wyjeżdżam. Nie jest to dużo. Ale gdyby każdy w Polsce myślał tylko na początku i na końcu szczytu, to też nie byłoby tak źle. W czasie więc tego zastanawiania się zauważyłem, że nawet Sinobrody nie wymyśliłby tych zwirowanych niespodzianek, jakie wymyśla nam życie. Jak kto mówi o tym życiu, to się zaraz nadyma. A co ono warte? I każdy inaczej o nim myśli. Dla Gustlika to jest dyscyplina i odpowiedzialność. **Odpowiedzialność.** Bo tak on to wymawia. I też odpowiednio nadęty. Dla Krzoka — życie to premia i tatusina gospodarka. Chłopo-robotnik, kurwa! Dla Dziezdzica — to tyłek Helki i mieszkanie w blokach. Dla Sinobrodego — dialektyka. Tak sam powiedział: życie, towarzysze, to dialektyka. I wymyśla różne historie: z krukami, z dziewczynami, diabli wiedzą z czym. Powiada: chłopaki, zrobimy tak i tak. I wychodzi tak i tak, co najwyżej coś się nieznacznie zmienia, albo coś nowego dochodzi w zakończeniu. A ja, pierona, tylko jeden raz coś wymyśliłem i wszystko nie tak wychodzi.

A to była sprawa czysto męska. Chociaż — nie od samego początku. Jak się zaczęło gadanie o tym lubelskim węglu, to ja fedrowałem w miedzi, a żona, jak to żona, dbała o zaopatrzenie. I stojąc z innymi babami w kolejce, wykalkulowała, że w Lubelskim można więcej zarobić (mały palec), dostać mieszkanie (serdeczny) i jest lepsze powietrze (wielki). Z kolejki poszła do kadr i dowiedziała się, że wszystko da się załatwić. No i rzeczywiście. Na samym początku były zarobki, mieszkanie i świeże powietrze. Chociaż jestem mocniejszy w budowaniu szybów niż w budowaniu szczęścia-zdrowia-pomyślności, to wydaje mi się, że życie (dyscyplina, Helka, premia, dialektyka) nie jest tak znowu dla człowieka łaskawe, żeby, jeżeli się na te trzy palce zaplanuje cud, miód, ultramarynę, to żeby na wskazywający nie wypadło trochę dziegiu. Dziewczyno, o którą tu się rozchodzi (przecież powiedziałem, że sprawa jest czysto męska), nie ja właściwie zaplanowałem. Jak się chłopca puszcza na ileś tam miesięcy czy lat na poszukiwanie złota i świeżego powietrza, to trzeba przecież liczyć, że zrobi ten nieszkodliwy skok w bok. Zresztą — jeżeli wszystko odbywa się normalnie, to się pies z kulawą nogą o tym nie dowie, a czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal. Ale wyszło inaczej. Ja nawet tego nie nazywam brakiem fartu. No, nikt nie widział, żeby człowiek pod rząd odbierał wszystko, co fajne, a co nie fajne, to dla bliźnich. Zarobki na początku były — palce licząc. Rekord za rekordem, premia za premią. Świeże powietrze samo czekało. A i mieszkanie właściwie, nie za górami-lasami. No to ja bardzo przepraszam, ale w takiej sytuacji jedno musiało nie wyjść. A czy z kopaliną tego samego nie było? Węgiel znaleźli, dziurę zgłębili, a od rekordów aż się w głowie kręciło. A potem — zaczęto rzygać. Tak samo i ze mną.

Tylko, żeby tę długą sprawę opowiedzieć krótko, trzeba napomknąć o niektórych z tych, co stoją obok, a przede wszystkim o Dziezdzicu i Sinobrodym. Dziezdzic to taki skurwiel, co się przycał, chcąc podsmradza, a udaje świętoszka. Co się natomiast tyczy Sinobrodego, to powiedziałbym, że prochu to on nie wymyślił. Ale wszystko inne — tak, i właśnie z pomysłów tych dwóch — Dziezdzica i Sinobrodego — zrodziły się moje kłopoty. Właściwie Sinobrody to był taki król angielski, który wciąż zmieniał żony. Naszego też trudno dwa razy zobaczyć z tą samą. Dlatego ktoś go tak nazwał. A tego dnia, o który się rozchodzi (palec wskazujący), postanowiliśmy przepuścić trochę pieniędzy w „Pojezierzu”. Spotkał się, jak zwykle, przed stolówką i całą szerokością ulicy poszliśmy we właściwym kierunku. Zanim zaś żeśmy wkroczyli do lokalu gastronomicznego kategorii drugiej, Sinobrody pokazał w powietrzu kółko zrobione z palca wskazującego i kciuka i potrząsał nim na znak, że sływa na moment, a jak wróci, to zobaczycie. I rzeczywiście.

Ledwo zajęliśmy miejsca w lokalu, dołączył Sinobrody, trzymając za szyję blondynkę. Bożena jestem, tego owego, pani będzie łaskawa, jaka pani, my tu sami swoi, no to na początek poprosimy o pół litra żyłka, co ty, taka dziewczyna pije szampana, przecież my, pierona, żadne krzoki, nie? tylko górniczy! stać nas na coś lepszego. Krzok poparzył groźnie, podrapał się za prawym uchem, ale zanim się zebrał, żeby cośkolwiek powiedzieć, Bożena się zaśmiała i wyjaśniła, że ona też jest z krzoków i nawet tym się czuje zaszczyconą, na co ja, że w takim razie ja też przystaję do łącznińskich i, panno Irenko, prosimy o butelkę, powiedzmy dla jasności — o dwie butelki szampana, co nie wyklucza poprzedniego zamówienia. Szampana nie było, tylko krem ananasowy. Bożena piła krem, myśmy też go spróbowali, ale napój nie na męskie gardło. Słodki, mdły, a jak się chce wszystko wypić, to trzeba wsuwać język do kieliszka, do samego dna i wylizywać. Dla śmiechu to nawet dobre, ale nie dla poważnej zabawy. Udo Bożeny i moje sąsiadowały ze sobą, co wywarło korzystny wpływ na układ naszych stosunków. To się tak mówi: korzystny,

ale komu to słowo przyjdzie do głowy, niech czeka końca. Z bezpośredniej bliskości oglądałem też jej język, jak się tam wiercił w kieliszku i zlizywał resztki kremu ananasowego ze szkła. Skutek tych obserwacji był taki, że kiedyśmy zakąsili rum-sztykiem z pieczarkami, skubany Dziezdzic rzucił hasło, by resztę wieczoru spędzić bardziej prywatnie. U tego nie, bo żonaty, tamten nie ma warunków, no to znowu Dziezdzic powiada, że najlepiej będzie u mnie w hotelu. I przez Dziezdzica, przez to udo i przez język w kieliszku ja się zgodziłem, zwłaszcza, że miałem tam parę butelek i jaką taką zagrychę.

Bożena rzuciła wtedy niby pytanie, a co żona na to. A ja, idiota, że żona umarła na zawał dwa lata temu. Gustlik zaświadczył, że to prawda i że od dwóch lat jestem wdowcem. I odtąd nazywają mnie Wdowcem. Nie przejąłem się tym zbytnio, bo przecież ani Gustlik nie jest Gustlikiem, ani Dziezdzic Dziezdzicem. No, Fizyczny, trzeba przyznać, jest fizyczny, ale tylko dlatego, że choć przysługuje mu tytuł technika, oświadczył, że w tym balaganie będzie fizycznym. Krzok również otrzymał imię, które mu przysługuje, i to od urodzenia. Ci rdzenni, z dziada-pradziada mieszkańcy Łęcznej nazywają siebie „krzokami”, że to tacy wrośnieli korzeniami w tą ziemię, a my to „ptoki”, które tu przyleciały i nic nas nie wiąże z tą ziemią. Oj, wiąże, wiąże... Niech-no tylko skończę z tymi wspomnieniami, wleżę do kuba i pobiję na dół, to się okaże, że korzenie tych krzoków nie sięgają tak głęboko, jak sięgają nasze.

Tak więc Bożena zapytała o żonę niby dla żartu, ja, idiota, wymyśliłem ten zawał niby dla żartu, te kłasy nazwały mnie Wdowcem niby dla żartu, a potem wszystko puściło jak śruby w biglu i sprawy potoczyły się własnym ciężarem. Ale, żeby do tego doszło, trzeba jeszcze raz wyciągnąć z kuba Sinobrodego, żeby wymyślił sposób, jak przeszwarować Bożenę do hotelu. Od początku był tu nacisk na to, przed czym ludzie chętniej ostrzegają innych, niż sami tego przestrzegają — na moralność. Wyśpi się taki z własną babą we własnym łóżku, to moralny. Albo już go to przestało bawić, to też moralny. Najlepszy tubing przeciwko niemoralności to energiczna żona pod bokiem. Ja bym potrafił więcej takich mądrości wygłosić. Ale kto by wtedy fedrował, gdyby górniczy byli od wygłaszania? Rozchodziło się więc o moralność. Dać ludziom sto mieszkań to sprawa trudna i długotrwała. Bo albo nie ma cementu, albo mocy przerobowej. O wiele łatwiej posadzić w okienku moralnego portiera, albo moralną portierkę, żeby mieli na wszystko oko. Powstał więc problem, jak przeprowadzić Bożenę przez portiernię, żeby nie było obrazy moralności i skandalu. Kto mógł taką rzecz wykombinować? — oczywiście Sinobrody. Ponieważ, jak powiedziałem, nie chodziło tu o wymyślenie prochu, stanął na wysokości zadania. Podszedł dyskretnie, to znaczy oglądając się na boki, do okienka i powiedział: sprawa delikatna, pani Zosiu. Inżynier nam się upił, pani rozumie, autorytet, tu ludzie akurat telewizję w hotelu oglądają, to go jakoś musimy... ale skąd?! sam nie przyjdzie, przeniesie trzeba, wie pani co? — my go w koc zawiniemy, to się pies z kulawą nogą nie domyśli... Dziękuję bardzo, my to raz-dwa. I rzeczywiście, ani się ktokolwiek spostrzegł, jak przeniesiliśmy Bożenę, owiniętą kocem, przez portiernię. Właściwie pani Zosia się zorientowała, ale o ulamek sekundy za późno. Dostrzegła, jak się okazało, wystający spod koca wysoki obcas Bożeny, ale jej brakło gorliwości, by nas gonić po schodach. Nieśliśmy Bożenę oczywiście głową do przodu, żeby sobie kto czego głupiego nie pomyślał.

Zabawa była udana i, powiedziałbym, obeszło się bez obrazy moralności, ale przegapiliśmy zmianę portierów, co utrudniło wyprowadzenie nielegalnego gościa. Dodać należy, że ani mnie, ani gościowi na wyprowadzeniu nie zależało. Słowem,

kiedy wróciłem z szczytu, przysięgliśmy sobie miłość dożgonną i to był ten palec wskazujący. A ja tak byłem ogłupiały tym dorwaniem się do młodu, że mi do głowy nie przyszła mądrość, którą dziś posiadamy, że jak się w takiej kolejności zamknie kciuk, to musi się zdarzyć coś niedobrego.

A w dyrekcji ważyły się w tym czasie sprawy mieszkań, bo właśnie jeden blok został wykończony. Każdy by chciał i każdy rozglądał się po znajomych, czy nie ma kogoś wpływowego. Ja też się rozglądałem. A nieoczekiwanie znalazłem... w łóżku, obok siebie. Sama Bożena nie jest osobą wpływową, ale ma koleżankę, która... zresztą o takich sprawach głośno się nie mówi, to raz (mały palec), a po drugie (serdeczny) każdy z nas ma równe prawo do mieszkania, tylko że taki na przykład Dziezdzic ożenił się z tutejszą, krzoczka, to przecież w chać u teściów jakoś doczeka do następnego bloku, nie? A jak ktoś ma rodzinę na Śląsku albo w Lublinie, to mu pilno... I tu mi, pierona, przyszło do głowy, że nie jestem pewien, czy mi pilno, czy nie. A kiedy zobaczyłem, jak gorliwie wzięła się za tę sprawę

W DOWIEC

Jerzy Urbanowicz

Bożena, to zacząłem się zastanawiać, komu właściwie bardziej zależy na tym mieszkaniu, mnie czy jej. Ale tak czy owak na liście byłem, rodzina czekała, mieszkania się nie wyrzeknę. A Bożenka chodzi, załatwia i tylko donosi, co zostało zrobione, co komu podsunęło, kto się dowiedział, że Dziezdzic może zaczekać, kogo to przekonało, i nagle uświadomiłem sobie, że Bożenka sobie wie gniazdko.

Powstaje pytanie, czy ja jestem świnią, czy nie? Ma prawo liczyć na moje wdowieństwo, ale dziewczynka na tyle duża, że powinna wiedzieć, co się przy wódce, nieopodal łóżka wygaduje. I, prawdę mówiąc, ona do tego interesu grosza nie dołożyła. Chciała pożyć z górniczym, pożyła. W Łęcznej mówiła, że u górników pieniądze się koca (właściwie — górniczy mówi, że w Łęcznej tak mówią), na to firmę „Jubiler” w Lublinie też żeśmy odwiedzili, zawadzając przed wyjściem o kasę. Wprowadzić do Lubina nikt z językiem nie polecał, ale żona policzyła, że trochę za mało pieniędzy wysyłam, a w mój bajer nie wierzy.

Słowem, jeśli idzie o Bożenę, to sumienie trochę uspokoiłem. Oboje żeśmy w to szczęście osobiste coś włożyli. Kiedy trzeba będzie stanąć do siebie plecami i odbić się tykiem o tyłek, powinno obejść się bez łez. Ano, zobaczymy.

I załatwiła. Raz jeszcze powiadam: parę lat tu pracuję, mieszkanie mi się należy, no to — żadna łaska. A na liście, prawdę mówiąc, byłem rok wcześniej, kiedy jeszcze Bożeny ani żadnej innej nie było w planie, naraz patrzę — a wisi nowa lista, ja o ileś tam miejsc dalej, a później zaczęli gadać, że ni stąd ni zowąd Sinobrody dostał mieszkanie. Jak dostał, kiedy mieszka w Hotelu Górniczym? Coś tu śmierdzi... A Dziezdzic? — przecież mieszka u teściów, a to chyba lepiej niż w Hotelu, nie?

Tylko... mi trochę głupio, pierona. Mieszkanie trzeba oblać. To prawo zna każde dziecko. A dorosły robi potrzebne zakupy i sprząsa gości. Jedno i drugie poszło gładko. Ale w sam dzień ośmieln kciuk zaczął się zaginać. Szycha była ciężka. Wracam skonany, a przed kłatką spotykam listonoszkę. Szła, jak zawsze, w jedwabiach na tyłku, pocztowej czapce z daszkiem na głowie i z uśmiechem na ustach. I to był ostatni uśmiech szczęścia w moim życiu. List, który mi dała, przeczytałem na schodach i schowałem. „Już nawet dzieciom wydaje się to dziwne. Ela powiada dziś do mnie, mam, ty jedź do taty, idź do tego ich zjednoczenia i spytaj, czy mu w końcu dają to mieszkanie, czy nie. Bo popatrz: tata ma tam bez nas wielką swobodę, nikt go nie kontroluje. A może on za dużo pije? Kto to może wiedzieć, co on robi. Ja myślę, że dziecko ma rację. Jutro nie, bo muszę być u lekarza. Ale pojutrze się spakuję i jadę”.

No to koniec. Bożena poznała od razu po mnie, że coś się stało i zaczęła nalegać, żebym powiedział. Wpadło mi wtedy do głowy, że tu nie ma co owijać w bawełnę. Gdybym kazał jej tak bez powodu opuścić mieszkanie, wytknęłaby mi, że dzięki niej teraz je dostałem i miałaby rację. A tak — jest powód. No to jej się przyznałem, że mam żonę i pokazałem list. Weale się tym nie przejęła. Po pierwsze primo ona nie taka głupia, żeby u wierzyć w ten zawał. Po drugie — ludzie się rozwodzą. I wymienili ze trzy nazwiska górników, którzy się rozwiedli i założyli nowe rodziny z krzoczka. W moim przypadku to nie wchodzi w rachubę, ale przemilczałem, bo mi odwagi brakło. Ale wieczorem, kiedy już każdy miał trochę w czubie, oświadczyła niby to żartem, że już niedługo będę wdowcem, bo się rozwodzę i z nią żenię. I wtedy upewniłem się, że niby to żartem wplątałem się w niezłą kabałę, a będzie jeszcze lepsza, jak mi się jutro zwali na głowę żona. I jak się, pierona, mile zdziwi, że nie musi iść do „zjednoczenia”, bo mieszkanko już jest. I to z sublokatorką.

No to rozlałem wódkę i wzniosłem toast za pomyslność Bożeny, z którą żeśmy się tak ładnie przyjaźnili prawie dwa miesiące, a teraz musimy się rozstać, bo przyjeżdża moja rodzina. Wtedy Bożena pokazała mi jedną rzecz, jakiej mi jeszcze nie pokazywała, mianowicie rogi. Nie ze mną, powiedziała, takie numery. Jak się uczciwą dziewczynę sprowadza z drogi cnoty, to się jej, bynajmniej, kopniaka nie daje. Nie mówiąc o tym, że gdyby nie ja, to byśmy oblewali to samo mieszkanie, ale właścicielem byłby Dziedzic. I jeszcze raz dodała: bynajmniej! Jak dotąd, ona jedna była nadęta, blust wysoko, broda podniesiona. A teraz nadął się Dziedzic. Dwoje nadętych i jeden zalamany to — jak na takie towarzystwo — za dużo. Toteż Gustlik i Fizyczny wzięli się za ratowanie sytuacji, w ramach czego nasz sztygar opowiedział dowcip, bo zna dowcipy na wszystkie okazje. Spotkały się dwie somsiadki, nie? I jedna powiada do ty drugi: wy byście, Gustlikowo, kupiła sobie gardiny, żebym ja nie musiała oglądać, co wy z tym kochankiem wyprawicie. To ji Gustlikowo odpowiedziała: a wy kupcie sobie bryle, to zobaczycie, że to żoden kochanek tno wasz chłop. Ale ten dowcip zepsuł nastrój do reszty, bo Bożena to wszystko wzięła do siebie. Nie od razu. Bo nie rozumiała, co to gardiny i bryle. A jak jej Gustlik wytłumaczył, że gardiny to firanki, a bryle okulary, to wpadła we wściekłość i również im się dostało. Ale dla nich to małe piwko. Powiedzieli, co złe to nie my, i poszli. Pierwszy zresztą opuścił nas Dziedzic. I w ten sposób nadszedł moment, że zostałem sam na sam z Bożeną.

Próbowała mnie podejść na różne sposoby. Przyminała, jak nam było ze sobą dobrze, i obiecywała, że zrobi taką hecę, że się o mnie nie tylko cała Łęczna dowie i Bogdanka, ale również całe wojewódzkie miasto Lublin i miedziowe Lublin. Plakała nad swoim nieszczęściem i błagała, żebym został przy niej. Groziła, że mi oczy wydrapie, i na dowód, że jest w rozpacz, rzuciła we mnie butelką po wódecie. A ja nie ustąpię. Też próbuję trochę wytłumaczyć, trochę pokrzyżować i nawet zauważyłem pewną prawidłowość. Jak ja łagodnieję, to ona ostrzej naciera, jak ja głos podnoszę, ona próbuje łzami. Nie będę ukrywał, że co jakiś czas wzmacniałem pozycję kielichem. Toteż w pewnym momencie po prostu zasnąłem. Zasnąłem, siedząc w fotelu.

Rozbudził mnie wściekły dzwonek u drzwi. Otwieram — Fizyczny. W szybie coś się dzieje, musimy jechać i to już! Ale co tu u ciebie tak gazem śmierdzi? Rzeczywiście, śmierdzi, tylko że ja ze snu i na bańce, nie od razu zdałem sobie z tego sprawę. Obaj skończyliśmy do kuchni, a tam nie ma czym oddychać, a po środku, na trzech zestawionych krzesłach, jak na katafalku, ze złożonymi na piersiach rękami, leży Bożena. Fizyczny przytomnie rzucił się do okna, żeby otworzyć, ja wyciągnąłem Bożenę do przedpokoju i krzyczę, żeby leciał do telefonu, po pogotowie. Najpierw ją poklepałem po policzkach, jak w amerykańskich filmach. Tam pomaga, tu — nie. Wtedy przypomniałem sobie o metodzie „usta-usta”. Zatkalem jej nos, przytknąłem usta do jej ust i nabrałem powietrza, żeby dmuchnąć. Ale wtedy ona otworzyła oczy, odepchnęła mnie, splunęła z obrzydzeniem, nazwała łachmytą i zaczęła lżyć. Milczałem, bo przecież było w tym wszystkim niewiele mojej winy, a poza tym, jeśli myślę sobie, zdecydowała się na gaz, to teraz ten żal i gniew musi z niej jakoś wyleżeć. Dla kobiety najlepiej, jak się wykrzyczy. Krzyczała, nie dość jednak głośno, by nie usłyszeć pogotowia. Zmiarkowała, że podjechało pod naszą klatkę. Powiedziałem, że zejść i odwołam. Wtedy bluznęła jakimś przekleństwem, wybiegła z mieszkania i skoczyła poza poręcz, pomiędzy schody. Ludzie kochani! Trzecie piętro!

Akurat wchodzili z noszami. No to nie musieli się fatygować na górę. A Fizyczny siedzi na tylnym siodełku jakiegoś motocykla i woła, że nic nie pomożesz, a tam coś się dzieje. Wnieśli ją do karetki z zakrwawioną głową i na sygnale odjechali. No to koniec. Złapałem jakąś okazję i przyjechałem do Bogdanki, przebrałem się, wciąż jeszcze pijany, czy otumaniony od tego wszystkiego, i mam gdzieś Gustlika razem z jego kapralskim spojrzeniem. Nie wiem, jak dla kogo, dla mnie nie mogła sobie ta awaria znaleźć gorszego czasu.

Konkurs o LZW rozstrzygnięty

W roku 1979 Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Lublinie, dyrekcja Lubelskiego Zagłębia Węglowego oraz Oddział Związku Literatów Polskich ogłosiły ogólnopolski konkurs na powieść lub zbiór opowiadań o tematyce związanej z powstającym Zagłębiem. Zwrócono się wówczas do 33 pisarzy całego kraju z propozycją udziału w tym zamkniętym konkursie. Zaproszenie przyjął 23 literatów.

Obradowało ostatnio w Warszawie jury w składzie: Wojciech Zulkowski (przewodniczący), Zbigniew Kołmiński i Bolesław Lubosz. Nagrodę I otrzymał Jerzy Urbankiewicz z Łodzi za powieść pt.: „Czerwone goździki stepią wrażliwość” (jej fragment drukujemy obok), nagrodę II — Maria Szulecka z Warszawy za „W blasku dnia”, natomiast III — Tadeusz Jasiński z Lublina nasz redakcyjny kolega, za „Wykapiasz się w tej samej rzeczce”. Sąd konkursowy przyznał też wyróżnienie I stopnia Zbigniewowi Ryndakowi z Zielonej Góry za powieść „Czarne anioły”, a nadto dwa wyróżnienia II stopnia: Zygmuntovi Trziszce z Warszawy za „Własne miejsce na ziemi” i Zbigniewowi Szulakowskiemu za „Po drugiej stronie tęczy”.

Marek Soltysik

JĘDRZEJ BRONISŁAW GRABOWSKI

Proszę nie mówić o śmierci w mojej obecności!
Wy chyba nie należycie do grupki obłejnej
Ludzi tych, którzy umieranie widzą jak siedzący
W cyrku, gdy córka linokoczek nagle zmieni ruchy.
Ale może jest śród was bezradny obserwator Powstania, co już szybciej
Potrafię zrozumieć, znając niechęć prawych także ludzi do czynu zbrojnego
Sam czulem niesmak niedokończoności i tego.
Ze zupełnie nie nie zależało ode mnie; portretową fotografię
W pełnym stroju powstańczym, z piękną bronią i na tle otwartego pejzażu
Zrobiłem sobie daleko po wszystkim, toteż minę tam mam niby myśliwy,
Bez śladów zniekania, gorczy i bólow, które trzeba było
Zabijać wódką, tłumić głośnym śmiechem, co chwila przytępić zapalonym banknotem
cygaretem

Do rzeczy; cygareto było po latach; ale —
Nie tylko dla mnie Powstanie — sprawą świętą —
I taką pozostało... choć zeżłone niewczesnymi interesami
Kiedy to silacze
Okazali ludzką najzwyczajszą, żeby być delikatnym — słabość.
Gadam, jakbym przemawiał. To dobrze,
Ze nie ma tu nikogo z lwowskiej rodziny Brühlów —
Ostatnie lata przepędziłem niby parszywy pies, co stoi —
Stoi, nie leży — u ich progu, a oni
Nie mają odwagi go załuc.
Dzieci... nawet na próbkę; moja żona
Z domu Brühl, chyba bez czułości...
Ze nie naruszyłem jej posagu, pewnie mi się chwali, ale
Nie mogłem przeboleć, że gdy miał pluc szczątki, wywoziła mnie
Do Włoch, sama placąc. Byłem
Omal bezwolny wtedy; jakby zatrzymał się zegar;
Każdej prostszej myśli się bałem, gonit mnie obraz: widok mego
Zmarłego młodszego brata (był solidnym, nie bardzo zdolnym malarzem).
We włoszech piucha; cóż z tego,
Ze palili w piecach. Nieważne —
W moim piecu, et-tam,
Wygasio już wszystko,
Już chłodny stałem się — gburliwy, innym razem czuły;
Bo teraz powiem: czułość była we mnie — na wet kiedyś wrzeszczał.
I kto to może pojąć — no, racja — chyba ja że żyłem;
Jak mogłem robić to lepiej, skoro wcześniej wyparł się mnie Grotiger
Za namową pretensjonalnej panienci o średniej duszy.
Portrety mego pędzla... był czas, gdy krążył czterowersz: „Daj mi, mężu, malować,
Jeśli jest bogaty, Grabowski twarzy wykona, a Matejko szaty”; myślałem:
Namaluję w końcu scenę religijną — Pisma świętego starałem się nigdy nie odstępować —
A kiedy już mogłem
Sobie zupełnie na to pozwolić, zakomponowałem na płótnie wielką całość, eialo stało się obca.
Koniec.

Okazał się bliższy, niżbym się spodziewał.

Z tomu „Korytarz”, który ukaże się w tym roku nakładem SW „Czytelnik”.

Jeffrey Wainwright

Edukacja sentymetalna

DELIKATESY

Docierają do nas wieści o tej rewolucji.
Siedzę, palę, ślęczę nad gazetami
Szukając opinii ekspertów — jednak mnie
rozpraszaasz.
Można wyobrazić sobie całe przedmięcia,
listonoszy,
Hydraulików, niechlujne ekspedientki
z rumieńcami,
Co palą się, by rwać kamienie z bruku.
Czym jest to wszystko wobec duszonego
węgorza,
Kurczaka, chrupkiego chleba, cierpkiego wina
na języku?
Jemy żarłocznie, trzymając w dloniach
prawdziwe
Noże o ząbkowanych ostrzach, światło świece
Roztopia się w twoich oczach. Oeh, moja
słodka,
Stracić cię, jakież byłby to przepyszny smutek.

RUINY OPACTWA

Tysiąc lat temu okoliczni mnisi
Umieli rozpoznać dawną obietnicę.
Było tam miejsce dla prawdziwej pokory
I istotnego wzbogacenia wiedzy.
Wsparty o taką opokę nawet kuplarz lub
ministr
Nie musiał bawić się słowami.
Widzę, że ciebie mało to obchodzi.
Jednak zdejmując buty siedzisz na dachówkach
Z pięknie wytłoczonym Wędem

I Owocem. Chociaż jestem świadomy
Płynności swych słów, powtórzeń, drobnych
potknięć,
Jest to wciąż temat, którego nie przestaje
złębiać.

LASEK FONTAINBLEAU

Przechodząc podziwiamy stojących drwali,
Posępni, o masywnych ramionach
Zachowują rezerwę jak bestie tych ciemnych
drzew.
Jeden z nich podchodzi o kilka kroków
i z pudłkiem,
Z rozmysłem patrząc nam prosto w oczy,
Wyciąga trzy żmije, które demonstruje w dłoni.
Bóg wie, że jestem z wami! Znam wasze
wszystkie
Kłopoty i troski, wiem i to, co o nich myślisz,
Mnie obwiniając za wszystko. Leez twój gietcy
ręczniczy
Są nazbyt zbawienni, zbyt zwinni. Pokazuj ich
Uczniom, wykształconej biedocie i turystom,
Którzy szukają czegoś, by rozbawić przyjaciół.

Przeł. Bohdan Zadura

JEFFREY WAINWRIGHT — ur. 1944. Jeden z najbardziej obiecujących poetów angielskich nowego pokolenia. Autor tomu HEART'S DESIRE, 1973.

kamena



Ale przeciw komu i czemu?

Dokończenie ze str. 1

Po kilku miesiącach SDP przyjęło nas jako swój bodaj 34 klub, wobec tego zmieniliśmy nazwę na Klub Rynku i Ochrony Konsumenta SDP. Po nieważ kolejno upadły „Gazeta Handlowa” i kilka innych pism zajmujących się rynkiem, a my uważaliśmy, że sprawa zaopatrzenia rodzin w podstawowe artykuły spożywcze jest niesłychanie ważna — uznaliśmy więc, że musi istnieć bojowe pismo zajmujące się tą problematyką. „Życie Gospodarcze”, jako pierwsze, zaczęło w styczniu ubiegłego roku artykułować mojego pióra organizowanie Federacji Konsumentów. Zaczęliśmy werbować członków—założycieli a potem zwróciliśmy się o rejestrację, przedtem opracowując statut.

— A tak w ogóle: skąd się wziął, prawdę mówiąc, zupełnie nagle, Andrzej Nalecz-Jawecki? Szybko przyzwyczailiśmy się, że ilekroć się pojawia na ekranie, będzie miała awantura konsumenta.

— Jest to pytanie trochę przykre dla mnie, zakładając, że przedtem o mnie nie słyszano. W „Życiu Gospodarczym” pracowałem 10 lat, uzyskałem kilkanaście nagród za publikacje dziennikarskie, przez kilkanaście lat słycałem mnie było na antenie radia itd. Oczywiście można powiedzieć, że telewizja dopiero nobilituje dziennikarza, na plus, albo też go dyskwalifikuje. Telewizja jest takim środkiem masowego przekazu, że łatwo się w nim skompromitować, jak to wielu dziennikarzy na własnej skórze się przekonało.

— Wróćmy do „Veto”.

— Tak, od razu założyliśmy, że nie będzie to pismo krytykujące ekspedientki, nie będziemy zajmować się krytykowaniem spraw drobnych i jednostkowych, a tylko podstawowych i zasadniczych, co widać prawie z każdego numeru. Zaczęliśmy listem otwartym do Sejmu, do tzw. siódemki. Wy-stąpiliśmy z propozycją ustawy zwalczającej marnotrawstwo, tak jak ustawowo zaczęto zwalczać spekulację. Niedawno jeden z instytutów NRD podał, że w krajach naszego obozu marnuje się co najmniej 30 proc. żywności: w transporcie, przechowywaniu i dystrybucji. Końcowym przykładem może być np. kupowanie chleba w piątek do poniedziałku, bo handel na te dni zamiera. Drobiazgi, atakowanie jednostkowych przykładów także znajduje dużo miejsca na łamach „Veto”. Przykładem niech będzie prenumerata czasopism. Tu Federacja wystąpiła z pytaniem, dlaczego zostaliśmy pozbawieni takiej podstawowej usługi, jak indywidualna prenumerata czasopism do domu. Poczta uznała to w sposób zupełnie bezczelny za usługę luksusową, kazala sobie za nią słono płacić, na początku 6 zł, potem spuściła na pięć, ostatnio stanęła na czterech. To skandal, przecież na całym świecie przynosi ludziom gazety razem z mlekiem pod drzwi. Oczywiście, można powiedzieć, że to drobiazgi.

— Przykłady można mnożyć. Czy więc, mimo nastawienia celowników na grube cele, nie grozi wam, że z czasem rozmienniecie się na drobne?

— „Veto” od początku zajmuje się wszystkim, co dotyczy rynku i jest to nasze jedyne credo. Przyjęliśmy zasadę redagowania gazety przez samych konsumentów. Poruszamy te bolączki, które docierały do nas w listach od tysięcy czytelników. Nie w telefonach, bo jeszcze nie mamy ani siedziby, ani bezpośredniego telefonu, co dowodzi, że traktuje się nas jak gówniary. Bardzo proszę, żeby pan zachował w tekście to ostatnie słowo.

— Nawet w stopce redakcyjnej chętnie się brakiem lokalu i telefonu.

— Nie tyle chętnie, co po prostu informujemy czytelników, żeby nie krzyżeli na nas, że się konsultujemy, jak np. Zjednoczenie „Grunwald”.

— W waszych publikacjach brakuje mi siewiania do prądów cen artykułów konsumpcyjnych, zwłaszcza spożywczych, mianowicie do cen skupu.

— To nieprawda. Sięgamy do mechanizmów, które nakreślają naszą gospodarkę. Natomiast w listach konsumentów jest mowa wyłącznie o skutkach, czyli cenach. Konsumenta w zasadzie nie interesuje indolencja, biurokracja, głupota panów, którzy udają dyrektorów i menadżerów. Nas interesuje to, że jeżeli „Polar” produkuje lodówki, to mała to być lodówka dobre, ma być tyle, ile potrzeba; jeżeli czolada jelczele i bielele w magazynie i sklepie czy margaryna się psuje... — Na szczęście czekolady nie ma...

— Bwaa, a jeśli już ja pan dostanie, to stara, zbielała. Ale wracam do poprzedniego pytania. O-tóż są dziesiątki tysięcy ludzi mieniących się menadżerami, zarabiającymi na 15—20 tysięcy, więc ich światem obowiązkiem jest dochodzić do źródła cen i w ośrodku krzysów w obrębie ich sfery działania! Działalność redaktorów „Veto” ich nie zastąpi, ani kilkuset działaczy Federacji.

— Trzymam się unarciu mego pytania: cen skupu artykułów rolnych, od których zaczyna się tanieć cen żywności...

— Nie chciałbym się wypowiadać, jeśli idzie o ceny skupu. I znowu powiadam. Jest tam w Ko-

misji Planowania i Komitecie Gospodarczym sztab 300 ludzi, którzy powinni tak rządzić, żeby na rynku była względnie tania żywność. My tylko będziemy dążyć do tego, żeby nam, konsumentom, przedstawiano do publicznej wiadomości wszelkie zamierzenia, w tym także w zakresie cen skupu. Owszem, ujawniamy skandale marnotrawstwa w SKR, w spółdzielniach produkcyjnych, pe-geerach, geesach i POM. Setki milionów złotych idą tam na marne.

— Może Pan podać kilka przykładów spraw ewidentnie przez was rozkręconych i załatwionych, ale spraw nie drobnicowych?

— Jest ich sporo. Na przykład: dzięki społecznej Komisji Cen istniejącej przy Federacji Konsumentów doprowadziliśmy do tego, że zwracano nadpłaty za meble. Luty, marzec br. to bardzo wysokie ceny na meble, potem rząd się z nich wycofał. Inna sprawa to wędliny drugiej kategorii. Dzięki Federacji poszedł specjalny program w TV o kiełbasach. Ten program, plus nasze działania przez Społeczną Komisję Cen doprowadziły do zarządzeń o drugiej klasie wędlin, czyli tańszych; jeżeli wędlina nie otrzyma parametrów jakościowych, jest tańsza. Jeżeli pan to uważa za sukcesy gówniane, to panu współczuję.

— Dziękuję, małych sukcesów nie nazywam gównianymi. Sukces to sukces, zwłaszcza, gdy go tak mało lub wcale brak.

— Z innych przykładów: trzeba wszelkimi siłami dążyć do zniesienia reglamentacji.

— To jeszcze nie stało się waszym sukcesem...

— Po pierwsze: reglamentacja to nie innego jak przedłużenie systemu nakazowo-rozdzielczego. Ten system wręcz uniemożliwia wprowadzenie reformy gospodarczej.

— Z tym każdy tzw. konsument całkowicie się zgadza. Co pan widzi w pierwszej kolejności do „odreglamentowania”?

— W drugim numerze „Veto” opublikowaliśmy olbrzymi apel o zniesienie reglamentacji alkoholu. Niestety, nie łączyliśmy tego z podwyżką cen alkoholu.

— Czyli nie sukces.

— Połowiczny, powiedzmy. Podwyżka cen alkoholu odbije się na rodzinach, na dzieciach alkoholików. W trzecim numerze podjęliśmy sprawę papierosów. Tym razem obszedło się bez podwyżki cen. Mamy już sześć gatunków papierosów poza reglamentacją. Mydła i proszki: rok bieżący będzie rekordowy w ich produkcji.

— Od dawna stoją przyzmy proszków w sklepach...

— Nie ma więc sensu, aby utrzymywać mydło na przydział. W tym roku wyprodukuje się więcej mydła niż w roku 1979 czy 1968 roku, kiedy nikt nie płakał na jego brak. Będziemy tu twardzi, bo mydła się zyschają, proszki kamienieją, tworzy się pokątny handel tymi artykułami. Nagle zakłady pracy zaczęły się domagać strasznych ilości mydła i proszków i każdy przynosi sobie mydło z pracy do domu. Tylko pamiętajmy, że jest parę milionów osób, którym naprawdę brakuje mydła i proszków. Trzeba więc znieść przydziały.

— Co z cukrem? Maliny i porzeczki się marnują z braku cukru.

— Pyta pan swojego kolegę po piórze, który akurat jest szefem Federacji i „Veta”. Pytanie pod niewłaściwym adresem. Z tym do ministrów i wiceministrów.

— Pan bywa u nich na pokojach, że tak powiem — na roboczo...

— Tak samo jak i pan zresztą...

— Niestety nie. Ostatnio ministrowie wyraźnie mnie zaniedbują.

— Widocznie nie ma pan im nic do powiedzenia.

— Przeciwnie.

— Dobrze, nie kłómy się, jest pan moim gościem. Wracając do konkretów. Co do cukru: straciłmy szanse, bowiem w zeszłym roku były dobre zbiory i można było od kartek odejść. Wyciągnięto jednak fałszywy wniosek: przy reglamentacji wódki cukier poszedłby na produkcję bimbru...

— ... który jest lepszy od takich tyfusów jak „Baltic” i inne.

— Jestem niepijący, nie znam się na tym. Liczymy natomiast na zmianę sprzedaży cukierków. Można zrozumieć, że czekoladowe trzeba jeszcze przydzielać, ale np. landrynki, dropsy, tak zresztą drogie, cukierki owocowe — to nonsens, żeby je trzymać na kartkach, bo przy tych cenach i tak nie będą kupowane kilogramami i dzieci będą mogły sobie kupić, a nie obliżywać szyby wystaw. Mam nadzieję, że zanim ten wywiad się ukaże, cukierki zwykłe już zejda z kartek. Oto w sumie przykłady naszych starań o zniesienie reglamentacji tych artykułów, które nie powinny być natchmiast rozdrapane. Dlaczego? — po prostu musimy jak najszybciej wracać do sytuacji cywilizowanego kraju. To jasne, że warunkiem jedy-nym jest wzrost podaży, a nie teoretyczne spekulacje. Takie szanse widzimy w papierosach, mydle, proszku, cukrze czy margarynie. Niektórzy wojewodowie, którzy z margaryny odpuścili, zostali skarceni. A szkoda.

— W sumie więc: precz z kartkami!

— Bądźmy ostrożni. Trzeba pamiętać, że 50 proc. obywateli jest za kartkami, bo nie chcą stać w kolejkach, mają równe szanse.

— Jest koniec sierpnia, a ja mam niewykorzy-

stany pełny przydział mięsa i wędlin, bo ich po prostu nie ma w Lublinie bez stania przez dwie godziny.

— A czy pan drukował w swojej gazecie to, ile się zepsuło mięsa, wędlin i drobiu? Spieprzyliście w Lublinie konkretne ilości mięsa! Mam badania NIK i PIH! Dlatego na okrągło zachęcam kolegów dziennikarzy do włączania się do ruchu konsumentkiego, do walki o nasze kieszenie, o nasze żarcie, o nasze stanie w kolejkach. — Dobrze byłoby, aby były walczące gazety, walczące, a nie pytające się pokornie promienta jednego czy drugiego lub prezesa Federacji, jakby miał komputer we łbie, jakby odpowiadał za wszystko i wszystkich! My mamy stwarzać presję na tych, którzy biorą ciężkie pieniądze i pierdzą w stołki, od prezesa geesu do ministra — a nie zastaniać się trudnościami obiektywnymi. To jest moje credo, proszę pana! Coraz częściej zaczynają być pretensje do Federacji. A no, Federacja nie załatwiła tego, czy owego...

— Sądzę, że dobrze; stajecie się w oczach konsumentów instytucją. Pan sam staje się instytucją. A propos: gdyby zabrakło Nalecz-Jaweckiego — to pewnie by się Federacja rozleciała. Kiedy się pan wystrzela?

— Już leżałem w szpitalu na serce. Ale muszę pana pocieszyć, że Federacja to setki bojowców — jak ja ich nazywam — że nie ma obawy, aby przestali działać, gdyby mnie wyniesiono w pozycji horyzontalnej. Takich nie sieją. To my, konsumenci, wiemy najlepiej, jakie są ceny, gdzie marnują, gdzie kradną, które decyzje władz są krzywdzące. Była kiedyś taka teza o edukacji konsumenta: edukujmy, tłumaczmy budżety rodzinne, jak co wydawać, żeby było sralis mazgalis i tym podobne duperele. Najwyższy czas, żeby to odwrócić: żeby konsumenci zabrali się za edukację kadry kierowniczej produkcji, handlu, magazynów itp.

— To każdy obywatel musiałby mieć ćwierć etatu na te cele. Ja idę do sklepu i kupuję, mnie nie obchodzi, co dzieje się na zapleczu, w hurtowni, wśród konwojentów i wszystkich hien, które żerują w tej dżungli. Mnie interesuje cena, towar i jego jakość.

— Przeciwny konsument będzie edukował lobu-zów, nie kupując ich towarów...

— On i tak musi kupić. Chcę jednak powrócić do wódki, do pańskiego wywiadu z wicemin. Gry-niewiczem. Dialog był ładny, ale mnie tam zabrakło pańskiego pytania, jaka część forsy ściąganej za alkohol po ostatniej podwyżce pójdzie na walkę z alkoholizmem, na neutralizację jego społecznych skutków.

— W tym samym numerze na ten sam temat było opublikowane stanowisko związku „Solidar-ność”, związków branżowych, związków autono-micznych, plus uzasadnienie tych cen. Bo my pro-szę pana, w „Veto” drukujemy to, co uznajemy za stosowne.

— Bardzo sympatyczna cecha... „Veto” ma chyba szanse przebić się przez własną cenę, 20 zł. Jak się rozehodźcie? Jak u was z trzema „S”.

— Wystartowaliśmy w okresie wakacyjnym, stąd mamy w kilku województwach kłopoty. Na razie najchętniej nas czytają w Warszawie, w Łodzi i Katowicach.

— Jaki nakład?

— 120 tysięcy: wyjściowy, może z czasem będzie więcej.

— Dziennikarzy ma pan młodych czy zza-biur-kowych?

— Przede wszystkim przebojowych. Można być dupą, mając lat 25, i doskonałym dziennikarzem, mając 60.

— Mam nieco inne zdanie na ten temat.

— Liczy służba społeczna.

— A propos służba społeczna: czy jesteście jako Federacja ruchem społecznym? Czy należycie do międzynarodowej organizacji związków konsumen-ckich?

— Na razie nie, brakuje nam dolarów na wpiso-wę. Owszem, jesteśmy ruchem społecznym. Ogrom-nie liczymy na pomoc społeczną fachowców—kon-sumentów, zwłaszcza prawników, którzy mogą wskazywać nowe formy walki.

— Przyszło mi do głowy, że ma pan podobny sposób formułowania myśli, ba, nawet gestykula-cji, jak minister Krasiński. Np. obaj często pukacie się w czoło. Co was łączy. Kto kogo na-sładuje?

— Tak, ja pukam się na zdjęciu w pierwszym, min. Krasiński w trzecim numerze „Veto”. No cóż, mnóstwo osób puka się w czoło w sytuacji, w jakiej się znajdujemy. Chodzi o to, aby każdy poczuł, że trzeba coś robić i zrobić, a nie tylko przychodzić do pracy, aby pisać bzdety w gazetach, których nikt nie kupuje, co nie jest aluzją wobec pana czy pańskiego pisma. Bo edukacji konsu-mentów i edukacji społeczeństwa — wystarczy nam na lata.

— Ile pan ma lat?

— Na razie 44. Ładna liczba, kabalistyczna. Do pięćdziesiątki chyba dociągnę, choć mam już kłopoty z sercem, a ostatnimi czasy także z synem, który wyszedł z Białoleki i nie wiem, czy zda sesję...

Magnetofon włączył: H. Pająk

Rys. Leszek Kosiański

KIEDY rodziła się idea budowy Centralnego Okręgu Przemysłowego, Lubelszczyzna traktowana była jako jego zaplecze surowcowe i rolnicze. Poza kilkoma zakładami i liniami komunikacyjnymi, umożliwiającymi transportowe połączenie Wołynia z COP-em i Śląskiem, nie planowano w Lubelskiem budowy zakładów pracujących na rzecz wojska. Jednakże w pierwszych miesiącach 1938 roku zaczęła się zaznaczać tendencja przenoszenia centrum przemysłowego kraju właśnie na ziemię między Wisłą a Bugiem, konkretnie w okolicy Kraśnika i Lubartowa. Geograficzne centrum Polski międzywojennej znajdowało się 30 km na wschód od Lublina, we wsi Blota — i w tym środku zaczęto lokować przemysł wojenny. Rozpoczęły się tutaj roboty na ogromną skalę.

W dotychczas publikowanych opracowaniach o COP na Lubelszczyźnie interesowano się jedynie budową najbardziej znanych obiektów przemysłu zbrojeniowego: fabrykami w Kraśniku i w Poniatoławie, czasami wspominając o fabryce samochodów w Lublinie, fabryce w Jawidzu i zakładach „Karwina-Trzyniec”. Listę tę chciałbym uzupełnić, przedstawiając ponadto wojenne dzieje lubelskich zakładów COP, prawie nieobecne w naszej historiografii.

Przed rozpoczęciem budowy COP działały na Lubelszczyźnie dwa zakłady pracujące na rzecz wojska: Lubelska Wytwórnia Samolotów, zatrudniająca przed wojną 1100 robotników i produkująca osiem samolotów „Czapla” miesięcznie, oraz Podlaska Wytwórnia Samolotów, która przed wojną posiadała około 1000 robotników i miała produkować 15 płatowców szkolnych „AVRO” miesięcznie. Natomiast pierwszym zakładem COP na tym terenie była Fabryka Amunicji nr 2 w Kraśniku. Do września 1939 r. wydatkowano na jej budowę ogromną, jak na przedwojenne czasy, kwotę 85 mln. zł. Wchodząc w skład firmy „Państwowe Wytwórnice Uzbrojenia”, miała ona wytwarzać skorupy do pocisków kalibru od 37 do 155 mm, przeznaczone dla artylerii polowej, ciężkiej i przeciwlotniczej. W końcu sierpnia 1939 r. FA nr 2 zatrudniała już 1200 robotników, a całkowite ukończenie inwestycji planowano na rok 1940. Był to jednak termin mało realny. Inwestor — Ministerstwo Spraw Wojskowych — zaangażowało do budowy różne prywatne firmy budowlane, które pracowały źle. Np. w sierpniu 1939 r. firma „Dąbrowski” z Katowic przez niewypłacenie swoim robotnikom poborów wywołała strajk na budowie pieców do obróbki termicznej pocisków. Zresztą firmy wznoszące ten zakład w miejscowości Dąbrowa-Bór pod Kraśnikiem często zmieniały się, co także opóźniało prace.

Drugim obiektem budowanym na Lubelszczyźnie w ramach COP była filia warszawskich państwowych Zakładów Tele- i Radiotechnicznych w Poniatoławie. Do prac przystąpiono w 1937 r. na terenach wybranych przez Sztab Główny. W uroczysku lasów państwowych „Poniatoława” wydzielono 100 ha pod budowę fabryki, a na uroczysku „Wąsosz” — 60 ha na osiedle robotnicze. W ciągu 1937 r. wykonano wstępne prace geologiczne w terenie, położono drogę dojazdową i bocznicę kolejową. W roku 1938 i pierwszych ośmiu miesiącach następnego wzniesiono 16 obiektów fabrycznych, w znacznej też części wykonano plan budowy 200 mieszkań w kolonii fabrycznej. Prace — w odróżnieniu od Kraśnika — przebiegały tu zgodnie z harmonogramem, a moment uruchomienia produkcji nawet przyspieszono. Już bowiem w sierpniu 1939 r. zmontowano w Poniatoławie pierwsze partie liczników energii elektrycznej i ustawiono ruchome taśmy do montażu telefonicznych aparatów polowych. Nie jest więc prawdą powtarzane dotychczas twierdzenie, iż w Poniatoławie nie zdążono podjąć produkcji przed rozpoczęciem wojny. Zarówno tutaj, jak i w Kraśniku, produkcję na potrzeby wojska rozpoczęto.

W założeniu filia PZT-R w Poniatoławie miała wytwarzać sprzęt standardowy, masowo lub w dużych seriach. Przewidywano, że dzięki jej uruchomieniu PZT-R w 1940 r. pokryje całe zapotrzebowanie wojska na sprzęt łączności. Budowa filii kosztowała 22 mln. zł, a koszty pokryły po połowie ministerstwa: Spraw Wojskowych oraz Poczty i Telegrafu. Pełny rozruch fabryki w Poniatoławie przewi-

dywano w końcu września 1940; na jednej zmianie miało tu pracować 1500 robotników.

Trzecim znanym obiektem COP w obszarze województwa była Fabryka Amunicji nr 5 w Jawidzu koło Lublina. Do września 1939 r. zainwestowano w nią 48 mln. zł. Docelowo miała ona produkować w ciągu miesiąca 180 tys. sztuk pocisków 37 mm ppanc. oraz 250 tys. pocisków 40 mm plotn. Zakładano jednak, że początkowo Jawidz będzie produkował 30 mln sztuk amunicji karabinowej miesięcznie, a także splotki. Do wybuchu wojny zdołano tu jednak wykonać tylko część robót terenowych.

W stadium budowy znajdował się we wrześniu 1939 r. kolejny zakład COP — Fabryka „Nitrat” w Krasnymstawie. Zamierzona produkcja tego zakładu przemysłu zbrojeniowego wynosiła 200 ton materiałów kruszących: trotylu, kwasu pikrynowego, tetrylu, amonalu i prochu czarnego. Pracowała natomiast, ujęta w spisie koncernu „Państwowe Wytwórnice Uzbrojenia”, mała odlewnia w Lublinie, za-

trudniająca 20 robotników. Wytwarzano w niej skorupy granatów ręcznych.

Do września 1939 r. nie zdołano rozpocząć budowy planowanych innych wielkich zakładów COP na Lubelszczyźnie. Dotyczyło to elektrowni w Lublinie i centralnej elektrowni COP w Kraśniku, gazociągu z Daszawy w województwie lwowskim do Lublina i Lubartowa, linii kolejowej z Ostrowca Świętokrzyskiego przez Annopol—Kraśnik do Zawady. Nie rozpoczęła się także, w rejonie Puław, budowa sześciu wytwórni przemysłu tłuszczowego. Zakłady „Laziska Sp. Akc.” zamierzały postawić na terenie wybranym przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu — w kierunku na Dęblin — olejarnię wraz z rafinerią olejów i tłuszczów, utwardzalniami tłuszczów jadalnych i technicznych, margarynownię i wytwórnię tłuszczów jadalnych, zakład mydlarski wraz z destylacją gliceryny, wytwórnię smarów i towarów, wreszcie wytwórnię pokostów i lakierów. Sprawę tych inwestycji uzgodniono w połowie 1938 r. Min. Przemysłu i Handlu miało zapewniony kredyt na ten cel w wysokości 5—7 mln. zł, ale do września 1939 r. rzecz nie ruszyła z miejsca. W toku natomiast była translokacja fabryk kablowych z zachodu do COP. Najważniejszą z nich miała rozpocząć produkcję w 1940 r. w rejonie Lubartowa. W okolicy Zamościa przenoszono fabrykę drucików kablowych.

Przenoszenie fabryk w rejon COP było wynikiem złej pod względem strategicznym geografii polskiego przemysłu — do końca lat 30-tych większość zakładów znajdowała się na pograniczu polsko-niemieckim. Na początku 1939 r. rozpoczęto więc organizowanie ich filii w głębi kraju. Pierwszą fabryką, na którą zwrócono szczególną uwagę, były Zakłady „Karwina-Trzyniec”, rozporządzające dużą hutą i posiadające olbrzymie możliwości przerobu żelaza. Dysponowały one ponadto wielką liczbą ciągników i zwijarek drutu dla celów saperkich i fortyfikacyjnych, posiadały również kompletną, choć wówczas nieczynną walcownicę i szereg maszyn pomocniczych. W wyniku umowy zawartej w lipcu 1939 r. z Ministerstwem Spraw Wojskowych Zakłady z Trzyńca zobowiązały się do natychmiastowego zainstalowania swej filii w Lublinie. Wspólnie ze Sztabem Głównym, który wskazał lokalizację, ustalono, że filia produkować będzie grubą drut (5,5 mm) — używany w budownictwie fortecznym oraz jako materiał wyjściowy do fabrykacji drutu kołczastego po przeciagnięciu go na zamontowanych w Lublinie urządzeniach. Przewidywano, że tu także będzie splatać się drut kołczasty na zwi-

jarkach. Około 6000 ton prętów do walcowania, zapas gotowej już walcówki i drutu 1,5 mm do produkcji drutu kołczastego przewieziono latem nad Bystrycę, by w nadzwyczajnym tempie przystąpić do uruchomienia walcowni oraz oddziału produkcji drutu 7,1 mm, potrzebnego wojskom łączności.

Zbliżała się wojna, tymczasem odpowiedzialne władze przez długi czas w ogóle nie myślały o przeniesieniu przemysłu wojennego z zachodu kraju i z COP. Dopiero w lipcu 1939 r. Sztab Główny zaakceptował projekt (z kwietnia owego roku) zarządu firmy „H. Cegielski” z Poznania, dotyczący ewakuacji fabryki do Chełma, oraz ogólny projekt naczelnego dyrektora A. Kreglewskiego, by stworzyć w rejonie Zamość—Chełm—Włodawa—Włodzimierz Wołyński rejon ewakuacyjny dla fabryk przemysłu wojennego z terenów zagrożonych i z COP. Zamierzano to zrealizować w formie budowy magazynów wojskowych, przystosowanych do przyjęcia fabryk w razie wojny, z częściowym uruchomieniem produkcji w czasie

pokoju. Magazyny miały być własnością fabryk, a koszty ich budowy pokrywały po połowie: firmy i Ministerstwo Spraw Wojskowych. Pierwsze konkretne prace na tej zasadzie rozpoczął „H. Cegielski” — zakupił w Chełmie teren i niektóre materiały budowlane, rozpoczynając też roboty ziemne. Z własnej inicjatywy, 27 sierpnia 1939 r. zarząd firmy rozpoczął ewakuację na wschód warsztatu mechanicznego, tj. wydziału wojskowego produkującego podwozia do dział 37 i 40 mm. 1 września cała fabryka „Cegielskiego” rozpoczęła przenosiny do Chełma i Lublina. Zamierzano tu podjąć produkcję dla wojska, jednak wskutek wydarzeń na froncie i szybkiego postępu wojsk niemieckich, nim „Cegielski” zdołał uruchomić produkcję na Lubelszczyźnie, przyszedł z Ministerstwa Spraw Wojskowych rozkaz dalszej ewakuacji na Wołyn i uruchomienia produkcji w Kowlu. Także nie udało się go wykonać.

Fabryka w Poniatoławie została wstępnie unieruchomiona już w pierwszym dniu wojny. Ze względów oszczędnościowych odłożono na dalsze lata budowę własnej centrali elektrycznej i kiedy 1 września wystąpiły przerwy w dostawach prądu z sieci Zakładów Energetycznych Okręgu Radomsko-Kieleckiego, Poniatoława stanęła. Później dostawy prądu wznowiono, a zarządzenie przejścia na produkcję wojenną przyspieszyło wydajność filii poniatoławskiej: wykończano masowo sprzęt wcześniej tu montowany, a także ewakuowany, od 5 września, z centrali PZT-R w Warszawie. 8 września dowódca Armii „Lublin” gen. Piskor wydał PZT-R rozkaz niezwłocznej ewakuacji do Brześcia. Tamże załoga dowodziła się od Naczelnego Dowódcy Łączności, że na jechać dalej, do Stanisławowa. Spora część pracowników wróciła jednak z powrotem do Poniatoławie...

W Fabryce Amunicji nr 2 w Kraśniku produkcja wojenna trwała normalnie do 4 września. Tego dnia rozpoczęły się naloty na stację kolejową i miasto Kraśnik. Nie poczyniły one większych szkód w FA nr 2 aż do momentu jej ewakuacji, czyli do 13 września, niemniej częściowo dezorganizowały pracę fabryki, powodując też śmierć czterech osób. Obronę przeciwlotniczą Kraśnika stanowiły tylko trzy stare CKM-y bez fachowej obsługi, delegacja fabryki szukała więc pomocy w Dowództwie Okręgu Korpusu II w Lublinie. Pod nieobecność gen. Smorawińskiego przyjął ją jego zastępca, gen. J. Kleeberg. Polecił on wydać z GSU nr 2 w Stawach koło Dębina 10 CKM dla FA nr 2 oraz amunicję i dostarczyć do Kraśnika niezbędną liczbę strzelców do obsługi

broni. Amunicja i karabiny dotarły do fabryki, strzelcy nie. 9 września zapadła w Zamościu, gdzie przebywała część Ministerstwa Spraw Wojskowych, decyzja o ewakuacji zakładu do Krzemieńca. Przeprowadzka trwała cztery dni, od 10 do 13 września; na cztery transporty załadowano kilkaset cięższych obrabiarek oraz wszystkie niemal materiały i narzędzia. Znaczącej pomocy w organizacji ewakuacji udzieliła lubelska Dyrekcja Kolei, a zwłaszcza naczelnik ruchu inż. Kudelski, oraz zawiadowca stacji Kraśnik. Personel fabryczny wyruszył do Krzemieńca autobusami i samochodami ciężarowymi. Maszyny i ludzie nie wrócili już do Kraśnika.

FA nr 5 w Jawidzu nie ewakuowano, bo nie było co stąd wywodzić na wschód. Stworzono tu natomiast 7 września ekspozyturę dyrekcji Państwowych Wytwórni Uzbrojenia, która miała za zadanie kontakt z formacjami frontowymi, pomoc w ewakuacji personelu fabryk amunicji i przeprowadzenie planowej ewakuacji FA nr 2 z Kraśnika. Maskowano tu tory i drogi, na szynach stał bowiem po-

Stanisław Jadczyk

fląg z amunicją ewakuowaną w składnicy w Stawach.

Trasami Dęblin—Lublin—Chełm, Kowel—Lublin—Rejowiec—Lwów, Chełm—Brześć i Warszawa—Luków—Terespol—Brześć wlezione we wrześniu 1939 r. także inne zakłady uzbrojenia z terenów zachodniej i centralnej Polski, m.in. Fabrykę Kabli z Bydgoszczy, Fabrykę „Lilpop, Rau i Lowenstein” (dzisiejszy „URSUS”). Przeniesiona na wschód została także Podlaska Wytwórnia Samolotów w Białej Podl. Niemcy zresztą myśleli, że podjęła ona produkcję wojenną i systematycznie ją niszczyli przy pomocy swojego lotnictwa. Naloty dotknęły także Lubelską Wytwórnię Samolotów. W innych, mniejszych zakładach, przed wkroczeniem Niemców niszczone co cenniejsze urządzenia i zapasy materiałów oraz surowców. Na przykład w Lublinie spalono około 80 km kabla telefonicznego polowego, którego nie zdążono załadować do wagonów i wywieźć na wschód. Większość jednak materiałów do produkcji wojennej, zgromadzonych w województwie przed 1 w czasie września 1939 r. padła łupem wojennym okupanta. Nie wróciły na Lubelszczyznę także maszyny i urządzenia z ewakuowanych fabryk, które znalazły się na ziemiach wschodnich Rzeczypospolitej. Zostały one przejęte przez wkraczające oddziały Armii Czerwonej.

Wysiłek finansowy i intelektualny, zaangażowany w budowę przemysłu wojennego na Lubelszczyźnie, nie przyniósł więc we wrześniu 1939 r. konkretnego pożytku armii polskiej. Nie przyniósł, bo wobec wydarzeń na froncie nie mogło być inaczej. Nie zrealizowano też planów odtworzenia tu zakładów przemysłowych ewakuowanych z zachodu kraju i uruchomienia produkcji wojennej. Nie pozwolił na to chaos ewakuacyjny, efekt szybkiego postępu wojsk niemieckich. Dzieje wojennego przemysłu Lubelszczyzny są zresztą odbiciem sytuacji ogólnokrajowej. Nigdzie nie zrealizowano bowiem planowanych zadań mobilizacyjnych wskutek rozwoju sytuacji na froncie.

Ważnym składnikiem tych dziejów jest fakt, iż w 10 lat później, już w Polsce Ludowej, wróci się do koncepcji budowniczych COP, lokalizując w dawnych obiektach przemysłu zbrojeniowego nowe wielkie inwestycje płonu 6-letniego: Kraśnicką Fabrykę Wyrobów Metalowych, Zakłady Elektromaszynowe „Eda” w Poniatoławie, Fabrykę Samochodów Ciężarowych w Lublinie.

Kamena 9

W 50 rocznicę śmierci

Żwirko i Wigura (2)

Jan Gwalbert Zygmuntowicz

Z POZĄTKIEM lata 1932 roku pojawiły się na lotnisku Okęcie trzy nowe samoloty zbudowane w Doświadczalnym Warsztatach Lotniczych, bardziej znanych pod skrótem RWD od nazwisk popularnych już konstruktorów: Rogalskiego, Wigury i Drzewieckiego. Płatowce samych wyglądem zewnętrznym odbiegały od dotychczasowych wyrobów tej firmy, a wiele rozwiązań ich konstrukcji było wręcz nowatorskich. Podyktował je regulamin przewidzianego na drugą połowę sierpnia Challenge'u, trzecich już z kolei międzynarodowych zawodów lotniczych, w których Polska zgłosiła swój udział. Prócz samolotów RWD-6, zbudowanych głównie dzięki społecznym funduszom zebranym przez LOPP oraz dotacjom Ministerstwa Komunikacji i pomocy LOT-u, ekipa narodowa miała być wyposażona także w trzy samoloty PZL-19 wykonane w Państwowych Zakładach Lotniczych. Podczas, gdy w Aeroklubie RP kompletowano zawodnicze załogi, na lotnisku trwały intensywne próby prototypowych płatowców.

W pierwszych dniach lipca inż. Drzewiecki miał na lotnisku mokotowskim zademonstrować przed komisją kwalifikacyjną jeden z challenge'owych RWD-6. Nadleciał od strony miasta z dużą prędkością i bardzo nisko, aby dla uzyskania odpowiedniego efektu wyrwać nad grupą obserwatorów pionową „święcą” w górę. Ale to, co stało się w tym momencie, było zupełnym zaskoczeniem nie tylko dla członków komisji, lecz przede wszystkim dla samego pilota i współkonstruktora samolotu. Oto bowiem nagle, jak ucięte nożem, odpadły obydwa skrzydła! W chwilę później kadłub z ogromnym traskiem runął na lotnisko. Wszyscy zniechęceni i ocknęli się dopiero na dźwięk klaksonu sanitarki, która z ciężko rannym pilotem ruszyła w stronę miasta, do szpitala.

Wypadek spowodował zawieszenie lotów na dwóch pozostałych RWD-6, gdyż niezbędnym było ustalenie przyczyny urwania się skrzydeł. Ekspert z Ministerstwa Komunikacji byli zdania, że nastąpiło samoczynne przestawienie się regulowanego statecznika poziomego, a w efekcie gwałtowne przyhamowanie, którego nie wytrzymała konstrukcja skrzydeł. Konstruktorzy bronili się powtórnie sprawdzeniem obliczeń wytrzymałościowych i ich pozytywnymi wynikami. Na dobrą sprawę wiarygodnego orzeczenia przyczyny wypadku nie było, a że czas naglił, bo termin rozpoczęcia Challenge'u zbliżał się szybko, dwa pozostałe samoloty o znakach SP-AHL i SP-AHN wznowiły próby, ze zmienionymi jedynie mechanizmami przestawiania statecznika.

Memento nad lotniskiem mokotowskim pozostało do końca nie wyjaśnione, a na pocieszenie dyskutowano szeroko o kłopotach niemieckich konkurentów, którym też rozleciały się w powietrzu dwa samoloty, a trzeci — bezogonowy „Fieseler” — uległ uszkodzeniu. Tylko nikt jakoś nie zauważył, że Niemcy pozostałe bezogonowce skasowali i nie zgłosili do konkursu żadnego z samolotów tego samego typu, co rozbite.

Tymczasem nasze załogi rozlosowały wcześniej swe maszyny i przystąpiły do treningów. Pilotami trzech PZL-19 byli: Bolesław Orliński, Ignacy Giedgowd i Jerzy Bajan, a pozostałych dwóch RWD-6 — Tadeusz Karpiński i Franciszek Żwirko. Stanisław Płoneczyński musiał zrezygnować z udziału w Challenge'u

Polackie samoloty, opracowane zgodnie z wymogami regulaminu, miały zapewnione punkty za techniczne rozwiązania konstrukcji. Właściwie tylko RWD-6 traciły w tej ocenie po 4 punkty za brak trzeciego miejsca w kabinie, z którego konstruktorzy świadomie zrezygnowali, zyskując w zamian więcej punktów za wygodę jej wnętrza.

Sześć polskiej ekipy, mjr Adam Wojtyga, tak oceniał konkurentów, którzy zlecieli się na berlińskie lotnisko Staaken:

Ekipa włoska imponowała jednolitością sprzętu, przygotowaniem technicznymi i „tęgimi” minami pilotów. Samoloty „Breda” przedstawiały się bardzo dobrze, najwięcej jednak zaniepokoił budził nieznaną nam silnik „Colombo”. W locie widać było nadmiar mocy tego silnika w stosunku do lekkiej sportowej maszyny...

Prasa niemiecka podkreślała od początku, iż Włosi są jedynymi godnymi konkurentami Niemców, typowanych na pierwsze miejsce.

Ekipa francuska przedstawiała różnorodność bez jakichkolwiek szans na zdobycie lepszych miejsc. Czesi prezentowali się niezłe, sami jednak przyznawali, że nie są technicznie przygotowani do zawodów. Szwajcarzy ze swymi dwoma samolotami nie budziła obaw konkurencyjnych. Ekipa niemiecka z 16 samolotami kwaterowała w oddzielnym hangarze, niemniej obserwowaliśmy ich gorliwie. Pomimo białej prasy niemieckiej z powodu wycofania samolotów „Messerschmitt” i „Wespe” (rozsypany się

w powietrzu), co zredukowało zespół niemiecki o 50%, ekipa ich, najliczniejsza ze wszystkich, obsadzona przez pierwszorzędnych pilotów na samolotach „Heinkel” i „Klemm”, budziła respekt przygotowaniem personalnym i technicznym.

Te spostrzeżenia majora Wojtygi dotyczyły ostatnich chwil przed rozpoczęciem konkurencji. Potem niczym bańki mydlane poczęły przyskać miły o bezkonkurencyjności Niemców i Włochów. Już po pierwszych próbach i punktacjach gwałtownie wzrosło zainteresowanie polską ekipą. Zdjęcia naszych samolotów zaczęły pojawiać się w niemieckich gazetach, a „der kleine Cwirko” i inż. Wigura, nie mogli opędzić się przed natrętnymi reporterami. Polski pilot bowiem prowadził w tabeli na równi z Włochem Colombo. Włosi też nie spuszczały naszych spod nieufnych, a Niemcy wręcz zazdrosnych, spojrzeń. Ci ostatni próbowali rozpaczliwie ratować swą niekorzystną sytuację komentarzami w prasie, w rodzaju opinii, że: to nie są zawody samolotów turystycznych, ale niebezpieczne akrobacje na małej wysokości...

Chodziło w tym przypadku o próby startu na 8-metrowej wysokości „bramkę” i lądowania znad niej, przy czym o punktacji decydowała najmniejsza odległość rozbiegu startowego i dobiegu po lądowaniu. A w tej konkurencji polskie „erwudy” okazały się „bezkonkurencyjne”. No, ale przecież kruczki regulaminowe wymusił sam gospodarz, mając oczywiście na uwadze walory własnych samolotów! Skąd mogli wiedzieć, że Polacy zastępują na swych płatowcach tak skuteczne klapy i skrzela oraz odpowiedniej mocy silniki, pozwalające na strone wznoszenie, a jednocześnie lądowanie „parasolem”?

Mimo wszystko była to bardzo denerwująca konkurencja, kiedy zawodnicy, starający się maksymalnie skrócić długość rozbiegu, podrywali maszynę przy niepełnej szybkości, niemal pionowo w górę, aby tylko przeskoczyć ponad sznurkiem bramki i chwytając się ze skrzydła na skrzydło, spadali prawie bezwładnie na murawę lotniska. Pękały podwozia, obrywały się różne elementy i tylko najbardziej opanowani mieli szanse wyjścia z tej próby bez szwanku, a jednocześnie z punktowym dorobkiem.

Równie trudną, a może nawet bardziej ryzykowną, była konkurencja lotu z minimalną prędkością. Wiadomo, że istotną rolę dla stateczności samolotu przy małych prędkościach ma gęstość powietrza. Wiadomo też, iż rozgrzane powietrze jest rzadsze i nie daje skrzydłom tak pewnego oparcia...

Kolejny sierpniowy dzień Challenge'u zapowiadał się niezwykle upalnie, a Żwirko wylosował kolejność startu około godziny dziesiątej. Nie wróżyło to niczego dobrego, skoro już wczesnym rankiem temperatura powietrza sięgała 20 stopni. Razem z Wigurą pojechali jednak dużo wcześniej na lotniako, aby podpatrywać konkurentów.

W wiele lat po Challenge'u 1932 syn por. Franciszka Żwirki, Henryk, zebrał notatki swego ojca i sporządził relację z tego dnia. Oto jej fragmenty:

— Słuchaj, Franek — zwrócił się do por. Żwirki kierownik polskiej ekipy, mjr Wojtyga. — Prawdopodobnie nie wystartuje w swej kolejności Wolf Hirth na „Klemmie”. Jeszcze reperują podwozie. Możliwe, że będzie mógł polecieć w przewidzianej dla niego kolejce. Bądź w pogotowiu. Od szóstej zaczynają się starty. Latać będą... — spojrzął na kartkę z wypisaną kolejnością do konkurencji — Puget... Nk, ten już wypadł z konkurencji. A więc Stein, Stopani, Marienfeld, a po nim Tadeusz Karpiński. Potem Strautmann i jeszcze kilku. Razem 16 maszyn w tej kolejce. Hirth jest przewidziany jako dziesiąty. Wypada to około ósmej, ale bądź gotowy już wcześniej.

— Bądź spokojny. Jesteśmy na lotnisku, Stasio jest przy maszynie, a to znaczy, że jest przygotowana.

Jako czwarty startuje RWD-6 Karpińskiego. Po rozbiegu wyrzyna maszynę w górę, jakby powtarzał próbę startu na bramkę. Robi rundę i wchodzi na kurs trasy pomiarowej. RWD wygląda wspaniale. Wysunięte sloty, jakby rozczepione skrzydła, trzymają samolot w powietrzu, zdawać by się mogło bardziej siłą woli pilota, niż na zasadzie zgodności z prawami aerodynamiki. Maszyna leci wolno, bardzo wolno. Wyraźnie widać, że znacznie wolniej niż dotychczas latające samoloty. Bez spoglądania na stoper można stwierdzić, że Karpiński uzyska doskonały wynik. Wigura nerwowo ścisną stoper, potem przelicza na suwaku. Aż nie chce się wierzyć: Karpiński uzyskał zaledwie 60 km/godz. Najlepszy wynik w konkursie! Najwyższą ilość punktów uzyskiwano się za przelot z prędkością 63 km/godz. Wynik Karpińskiego jest lepszy niż przewidzieli to organizatorzy!

Kapitan reprezentacji Włoch, pułkownik Colombo, poprosił o przesunięcie próby Donatiego o pół godziny. Kierownik lotów nagle pyta:

— Czy jest ktoś gotowy do startu?

— Ja mogę lecieć — zgłasza się Żwirko.

Jest możliwość wykonania próby o przeszło 3 godziny wcześniej. Teraz, o siódmej, jest już gorąco i powietrze rozrzedzone. Co będzie o dziesiątej?

Po chwili RWD-6, oznaczona numerem konkursowym 06 i znakami rejestracyjnymi SP-AHN, jest już w powietrzu. Wigura oparł się mocno o fotel. W ręku stoper. Żwirko zmniejsza obroty silnika. Jeszcze mniej, jeszcze...

Polska załoga uzyskała w tej próbie rewelacyjny wynik — zaledwie 57 km/godz. Zdobyła maksymalną ilość punktów i zdecydowanie wyszła na prowadzenie. Popołudniowe gazety berlińskie krzyczały tytułami: „Cwirko an der Spitze”.

Stracił prowadzenie w kolejnej próbie różnica dwóch punktów za minimalne zużycie paliwa. Na czele tabeli znowu Włoch Colombo. Rozpoczyna się ostatni akt wielkiego współzawodnictwa — rajd dookoła Europy, długości prawie siedmiu i pół tysiąca kilometrów, a zaraz po nim próba szybkości maksymalnej na 300-kilometrowej trasie. Tu Niemcy obiecają sobie rewanż za dotychczasowe niepowodzenia Mają szybkie maszyny, mogą pogonić



Ostatnie zdjęcie Franciszka Żwirki z plk. Ferdinandem Silvestrem, attache wojskowym Czechosłowacji w Warszawie przed odlotem do Pragi.

U ŹRÓDEŁ

Dokończenie ze str. 1

28 sierpnia na drugim berlińskim lotnisku Tempelhof, gdzie wyznaczono metę wysięgu, wielotysięczne tłumy ludzi. Z megafonów co pewien czas padały meldunki z punktów kontrolnych, informujące o sytuacji na trasie. Z pobieżnych wycieczek wynikało, że jeśli do mety jako pierwszy doleci Zwirko, to uwzględniając różnice startów pozostałych zawodników... Ale nie uprzedzamy.

Tak czy inaczej liczą się już tylko Niemcy — Poss, Morzik i Hirtb, bo Włosi wykuszili zęby i wypadli z konkursu. No i Zwirko. Wiadomo, że wszyscy zawodnicy niemieccy lecą na dolnoplatach; liczący się Polak — na górnoplatce. Jaka sylwetka ukaże się na horyzoncie? Czas biegnie, napięcie tłumów wzrasta. Wreszcie... Jest! Rośnie powoli kresczenka skrzydeł. Wszyscy z zapartym tehem starają się rozpoznać ich układ. I... Tak! Górnoplat, a więc Zwirko i Wigur! Pierwsi i najlepiej spośród 41 załóg, jakie rozpoczęły Challenge!

Po trzech kwadransach, kiedy wylądował ostatni samolot, kierownik zawodów, von Hoepfner, bez jednego drgnienia twarzy ogłosił:

— Der Pole Cwirko gewinnt... Polak Zwirko zwycięża...

Orkiestra zagrała „Jeszcze Polska”... na maszt powoli wspięła się biało-czerwona flaga. Tam w Berlinie, na lotnisku Tempelhof...

I dziś, w 50 lat od tamtego wydarzenia, ilekroć z komunikatów prasowych docierają do mnie wieści o uprowadzeniach polskich samolotów pasażerskich, które lądują na berlińskim lotnisku Tempelhof, zastanawiam się, czy ci, młodzi zwykle, sprawcy naruszenia prawa słyszeli kiedykolwiek o Zwirko i Wigurze, o polskiej fladze i naszym hymnie na tym samym lotnisku Tempelhof?

...

11 września 1932 roku zwycięzcy z Berlina wystartowali z warszawskiego lotniska do swego ostatniego lotu. Lecieli do Pragi na zaproszenie czechosłowackich lotników, aby swą obecnością uświetnić ich święto. Niedzielny ranek był pochmurny, wiał porywisty wiatr, ale nie nie zapowiadało tragedii. Zwirko i Wigurę żegnał m.in. płk. dypl. Ferdinand Silvester, czechosłowacki attache wojskowy w Warszawie, który przy okazji sфотографował się z najlepszym pilotem Europy.

Okolo ósmej rano dotarła do Warszawy telefoniczna wiadomość, że tuż po przekroczeniu granicy polsko-czechosłowackiej spadł na las w pobliżu miejscowości Cierlicko samolot RWD-6 o znakach rejestracyjnych SP-AHN. Obaj piloci zginęli na miejscu. Polskę, jak długa i szeroka, objęła narodowa żałoba.

Po manifestacyjnym pogrzebie, jakiego Warszawa nie oglądała od lat, nadszedł czas analizy przyczyn katastrofy. W prasie pojawiały się rozważania, że to na skutek gwałtownej wichury, która przeszła w tym czasie nad Cierlickiem, urwały się skrzydła samolotu. Ale przecież urwanie skrzydeł na tego samego typu maszynie wystąpiło już wcześniej, na mokotowskim lotnisku. Porównanie szczątków obu samolotów wykazało, że najsłabszym punktem konstrukcji było tylne okucie skrzydłowe. Gdyby wówczas wzmocniono je przez zamianę pojedynczego zastrzału na zastrzał w kształcie litery V, tak jak to zrobiono później w ostatnim egzemplarzu RWD-6, to może...

Po Franciszku Zwirko i Stanisławie Wigurze pozostała pamięć i ostatnie zdjęcie znakomitego pilota, na którym płk. Silvester napisał później:

Aeroklubowi Rzeczypospolitej Polskiej — dla uczczenia pamięci polskiego bohatera — ś.p. por. Zwirki — ofiarowuję tę fotografię zrobioną na kilka godzin przed ostatnim Jego lotem do czeskiej Pragi, której srogi los nie pozwolił podjąć słowiańskiego triumfatora, zdobywcy pucharu „Challenge — 1932”.

Zdjęcie ze zbioru autora

Władysław Plewe surowo obchodził się z wszelkimi przejawami nieprawomyślności. Zaledwie 14 lat upłynęło od upadku Powstania Styczniowego, wydarzenia lat sześćdziesiątych były jeszcze żywe, rany niezabliźnione, czujność carskiego aparatu wyostrzona. I oto, ku bulwersacji służb carskich w Warszawie, pojawił się nowy przeciwnik. Inne obwieszczał hasła, inne motywacje kierowały jego zadaniami; był tym groźniejszy, że ponad przedziałami narodowymi od „ywał się do solidarności proletariatu jednakowo ciemionych w Polsce i w Rosji. Wnosił w ich świadomość poczucie własnej siły i wskazywał tym, którzy byli „dzisiaj niczym”, misję dziejową, jaką mieli do wykonania.

Nie znamy reakcji wiceprokuratora Plewego po otrzymaniu listu. Jego nadawca był już poza zasięgiem władzy Plewego — w Galicji. Liczył wówczas zaledwie 23 lata, miał za sobą dwa lata studiów w petersburskim Instytucie Technologicznym, z którego został usunięty za działalność rewolucyjną wśród studentów. Przybył do Warszawy, po czym wstąpił do Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego i Leśnictwa w Puławach. Częściej jednak przebywał w Warszawie, gdzie ciągnęła go praca wśród robotników. Wkrótce — aby nie stracić kontaktu — sam przybrał roboczą bluzę i podjął pracę fizyczną w fabryce Lilpopa. Z jego inicjatywy zaczęły już w 1876 r. powstawać komórki socjalistyczne. Wkrótce za działalność rewolucyjną musiał uciec do Galicji. W cytowanym liście do Plewego brał na siebie winę za przechowywanie broni i nielegalnej literatury. Czynił to, aby ratować aresztowanych przez carską żandarmię towarzyszy.

W Galicji Ludwik Waryński — bo o nim cały czas mowa — rzucił się w wir pracy agitacyjnej. Wkrótce też przyszedł mu wraz z 34 towarzyszami zasiąść na ławie oskarżonych. Ten młody olbrzym wykorzystał proces dla zaprezentowania idei socjalizmu naukowego. „My nie stoimy ponad historią — stwierdzał wobec sędziów Waryński. — My ulegamy jej prawom”. Wszyscy oskarżeni zostali uniewinnieni.

Ma w sobie to odezwanie, mimo upływu całego wieku, walor aktualności. Nie sposób bowiem, kiedy śledzi się historię ruchu robotniczego, uniknąć asocjacji ze współczesnością wraz z jej wszystkimi błędami i zawirowaniami. Młody człowiek zmuszający sędziów krakowskich do uznania swych racji znalazł mechanizm rozwoju społecznego. Chciał, aby jego naród dotrzymywał kroku temu rytmowi. Wiek cały upłynął, a poniekąd usiłują ominąć, oszukać szlak dziejów...

W październiku 1879 r. w pierwszym numerze czasopisma socjalistycznego „Równość”, wydrukowanego w Genewie, ukazał się „Program socjalistów polskich”. W tym samym roku Lafar-

gue i Guesde powołali do życia pierwszą partię socjalistyczną we Francji. Uprzednio uczynili to robotnicy angielscy i niemieccy. Teraz zgłaszała swe prawa i aspiracje polska klasa robotnicza. Znaczenie tego faktu polegało i na tym, że — z racji zaboru — była ona mocno związana z proletariatem rosyjskim.

Waryński, który wszedł w skład redakcji „Równości”, należał do inicjatorów i autorów programu. Program wywodził się z „Manifestu Komunistycznego”, był jego polską wykładnią. „Środki i narzędzia pracy — pisano w rozdziale „Zasady” — powinny przejść z rąk jednostek na wspólną własność pracujących i tym sposobem praca najemna zamieniona będzie pracą zrzeszoną w stowarzyszeniach fabrycznych, rzemieślniczych i rolnych”. Określono środki, jakimi socjaliści zamierzają osiągnąć swe cele: „Program powyższy wobec bezskuteczności dróg legalnych może być osiągnięty tylko na drodze rewolucyjnej społecznej”.

Brzmiało to groźnie dla możnych ówczesnego świata. Tym bardziej, że polscy socjaliści zgłaszali akces do Międzynarodowego Stowarzyszenia Robotników, co w sposób istotny wzmacniało ich siłę i powiększało zasięg oddziaływania zorganizowanego ruchu robotniczego. We wrześniu 1882 r. ukazała się w Warszawie niewielkich rozmiarów broszurka. Nosiła ona tytuł: „Odezwa Komitetu Robotniczego Partii Socjalistyczno-Rewolucyjnej „Proletaryat”. Odezwa proklamowała powstanie partii i formułowała jej założenia programowe.

„W ogólnym rozwoju europejskich społeczeństw — pisano w II rozdziale — kraj nasz wyjątku nie stanowił; przeszły i teraźniejszy jego ustrój, na wyzysku i ucisku oparty, nie prócz nędzy i upodlenia robotnikowi naszemu nie daje. Społeczeństwo nasze nosi dziś na sobie wszystkie cechy burżuazyjno-kapitalistycznego ustroju, chociaż brak swobód politycznych nadaje mu wynędzniały i chorobliwy wygląd. Nie zmienia to wszakże istoty rzeczy. Posiadamy uprzywilejowanych wyzyskiwaczy cudzej pracy, naukę i prasę wyprzedaną ich interesom, dotkliwą nędzę klasy pracującej, prostytucję, poniżającą zależność kobiet itd., itp.”.

Słowa te czyta się dziś gładko, w zdaniach zawarte są prawdy oczywiste. Sto lat temu ich sformułowanie wymagało umysłu olbrzyma. Analiza sytuacji, wyprowadzona z naukowej teorii rozwoju społeczeństw Karola Marksa, była dziełem Waryńskiego i jego towarzyszy. Dostrzegano osobliwość proletariatu polskiego. Stwierdzano, że oprócz „warunków ekonomicznych i politycznych ogólnej natury” do upodlenia klasy wyzyskiwanej i skarcenia posiadaczy „przyczyniła się jeszcze [...] niemało narodowo-polityczna kraja naszego od najeźdźców zależność”.

Z prawdziwej diagnozy nie wyciągnięto jednak wniosków do końca, na

drugim planie odsuwano kwestię wyzwolenia narodowego. Uchybienie to w sposób znaczący odbiło się później na programie SDKPiU i doprowadziło, jako jeden z istotnych powodów, do rozbitcia PPS; skoryguje go dopiero Komunistyczna Partia Robotników Polskich. Rozbrat ostateczny dokona się w programie PPR pt. „O co walczyć”. W niczym nie zmieni to przecież faktu, że polska klasa robotnicza ma swój rodowód w Wielkim Proletariacie. W tej pierwszej partii ludu pracującego tkwią mocne korzenie międzynarodowego i solidarności „ze wszystkimi wyzyskiwanymi bez względu na ich narodowość”.

Podziw i szacunek budzą wytrwałość, konsekwencja i oddanie, z jakimi pionierzy robotniczej sprawy podjęli działania. Rzucili na szalę wszystko; skazywali się na ból, cierpienia, prześladowania i zayki, więzienia i katorgi. Z narażeniem życia przemycali przez zaborcze kordony nielegalną literaturę, wspierali nią rosyjskich robotników, zakładali legalne i nielegalne pisma. Dysponowali ideą, którą przetrzadzali w siłę materialną.

Pierwsze wystąpienia zorganizowanego ruchu robotniczego skierowane były na sprawy elementarne — skrócenia dnia pracy, poprawę warunków bytu. W kwietniu 1882 r. strajkowali warszawscy robotnicy Warsztatów Naprawczych Kolei Warszawsko-Wiedeńskiej. W rok później zwoicy skończył się bunt żyrdowski w włókniarstwie. Solidarność manifestowała się we wspólnych wystąpieniach łódzkiego proletariatu i pietrogradzkich robotników.

Wysoką cenę płacili polscy rewolucjoniści za swą działalność... 23 września 1885 r. przed sądem wojskowym w Warszawie rozpoczął się proces 28 „proletariatek”. Kostycznym paragrafem przeciwstawiali swoje racje przyszłości. Wyrok w istocie przesądzony był od początku procesu...

W chłodny styczniowy poranek następnego roku rozegrał się epilog. Na stokach Cytadeli warszawskiej prokurator odczytywał kolejne wyroki: Stanisław Kunicki, Piotr Bardowski, Michał Ossowski, Jan Pietruski... Każdy wykonał swą powinność.

Ludwik Waryński skazany został na twierdzę. Chorego na gruźlicę trzydziestoletniego mężczyźnę przewieziono do Szliselburga. Więziono tu wcześniej aż do śmierci współzałożyciela Narodowego Towarzystwa Patriotycznego, Waleriana Łukasińskiego. Car nie wypuszczał swoich ofiar. Ponure mury twierdzy, ciężkie warunki, zabijająca bezczynność i postępująca gruźlica z każdym dniem przybliżały nieuchronny koniec.

Po latach poeta napisze:
*Poranek marcowy. Jak cicho,
Jak dziwna się jasność otwiera,
I tylko tak ciężko oddychać,
I tylko tak trudno umierać.*

Był rok 1889. Dzień 2 marca. Nad posępnymi murami snuły się opary wczesnowiosennej mgły. Śmierć nie ma ulotnych barw poezji. Nie potrafi atoli unicestwić myśli człowieka.

Stanisław Dziadoń



Tomasz T. Lublin. „Dla dzieci należy pisać tak, jak dla dorosłych, ale lepiej” — powiedział do którychś z pisarzy, a do zdania tego przynajmniej wielu. Chciałbym, żeby i Pan przejął się tą maksymą. W wierszach dla najmłodszych czuje się Pan najlepiej, najwięcej ma do powiedzenia. Poeci gości jednak tylko w niektórych warszawach. Musi Pan więc wiele przemysłać, zdobyć się na dużą staranność warsztatową. W jeszcze

większym stopniu dotyczą te uwagi tw. wierszy dla dorosłych.

Arkadiusz P. Hajnówka. Pańskie „Równości” proponują coś w rodzaju „wielkiego humoru”. Przykład: „Ludzie, dlaczego tak się krzywicie na każdy pozytywny głos o bombie atomowej? Przecież po niej zapamiętuje wreszcie spokój”. Ale kto go zabrał? Zie się Pan bawi. Panie Arkadiuszu.

Marla K. Kurów. Niemal poleca mi Pani umieszczyć swe wiersze w „Kamencie”. Chętnie, jeśli w którejś następnej przesyłce znaję utwory zasługujące na to miasto.

Ryszard G. Surhów. Spętnię Pana prośbę. Niech Pan przyśle, przeczytam.

Jacek Z. Sosnowiec. Kilka tygodni temu inny górnik z tego samego miasta, Mirosław M., dzielił się z nami podobnym kompleksem. Skąd się to u was, drodzy gwarkowie,

bieżesz? Nie wykastalacie, a tym bardziej wykonywano zawód sprawując, że pisze ktoś dobrze i pięknie, lub nie. Otrzymujemy artykuły magistrów filologii polskiej, sporządzone wyjątkowo zła polszczyzną, przynależną im i profesorom, którzy nadali im dyplomy, wstyd. Pisze Pan, Panie Jacku, poprawnie po polsku, daje mi Pan więc podstawy do przytoczenia się do zdania, jakie wyraża Pan w dalszej części swego listu: „Niektórzy uważają ludzi mego zawodu za niezbyt inteligentnych, lecz nie mają racji”.

A jeśli chodzi o nadesłane wiersze satyryczne, to do druku one się nie nadają. Sądzę jednak, że w Domu Kultury Kopalni „Kazimierz” mogłyby wzbudzić zainteresowanie. Poruszają bowiem najżywczej naturalne problemy związane ze zdrowiem naturalnym środowiskiem człowieka, zagrożeniem atomowym.

TJ

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bostan, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasłowski (kierownik działu literackiego) Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłaza.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 253-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7168 Nr indeksu 36231. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/L.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 273-93.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin I, skrytka pocztowa 231 polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1173. 27.07.1982 r. B-3.

BUDGIE

Istvan Grabewski

UPALNA sobota 7 sierpnia, godz. 17. Przed katowicką halą widowiskowo-sportową, zwaną popularnie „Spodkiem”, gromadzi się gęsty tłum młodych, przeważnie długowłosych ludzi. Zar lejący się z nieba nie przeszkadza wytrwale czekać na otwarcie drzwi. Fani potrafia być cierpliwi. Po bilety w „Orbisie” niektórzy stali nawet pięć godzin. Wzrok mój przyciągają fantazyjne stroje. Królują blue jeans w dziesiątkach wydań. Niektórzy młodzieńcy noszą kurtki „Wrangler” z obciętymi rękawami i napisem wymarzonego zespołu na plecach. Znajduje „Iron Maiden”, „Black Sabbath”, „Scorpions” i „Motorhead”. Większość ma wymalowaną olejną farbą nazwę bohatera dzisiejszego wieczoru — BUDGIE. Reklama walijskiego tria kwitnie w przeróżnych postaciach. Najbardziej głośni, zdrowo podchmieleni entuzjaści przynieśli ze sobą kilkumetrowy transparent na cześć idola. Podekscytowani, spodziewają się emocji, jakich nie było w „Spodku” od czasu występu Erica Claptona. Przepustką do wnętrza halli jest biało-czerwony bilet za 400 lub 350 złotych. Gdy się go nie posiada, a to dotyczy i mnie, trzeba „kombinować” wejście, bądź liczyć na wprowadzenie przez ważną osobę. Legitymacja dziennikarska i upoważnienie wydane przez Urząd Rzecznika Prasowego Rządu nie robią na służbie porządkowej „Spodka” żadnego wrażenia. Ciężpliwość, może nie będzie źle.

W dwie godziny później otwiera się kilkanaście par drzwi gigantycznego obiektu. Ruzna ludzka fala. W ostatniej chwili wyluskuje w tłumie twarze przyjaciół z redakcji „Panorama”. Ich pomice pozwała mi (wprawdzie nie bez przebojów) wejść do halli. Na jej obrzeżach trwa ożywiony handel materiałami reklamowymi. Zainteresowanie ogromne. Ceny też imponujące. Barwny plakat Budgie kosztuje złotych 500, fotos (będący kłopską reprodukcją serwisu „pagartowskiego”) — 150 zł, plastikowy znaczek z nazwą grupy — 20 zł, Tajemniczy ajenci, rozprowadzający owe „relikwie”, robią na fanatyźmie długowłosych sympatyków roczną fantazyjny interes. Dobięga godzina 19.30. Dziesięciotysięczna widownia „Spodka” wypełniona po brzegi. Na estradzie zjawia się młodzieńczo ubrany (białe spodnie, białe koszulka i eszaronka, sportowa kurtka) wcale nie najmłodszy prezes Polskiego Stowarzyszenia Jazgowego — Tomasz Tłuczkiewicz. Gwizdy, piski i okrzyki „Budz!” utrudniają mu zapowiedź. W końcu dochodzi do głosu. „Przed państwem dwie muzyczne grupy wieczoru”.

Pierwsza część koncertu należy do młodego stazem kwartetu z Wrocławia — Easy Rider. Muzyka, która w innych warunkach decydowałaby o sukcesie zespołu, dziś spisuje go na straty. Ciekawe kompozycje, rozgrywane z dużym ładunkiem ekspresji na gitarze i skrzypce elektryczne, publiczność przyjmuje cierpko. Czują to muzycy. Świetny skrzypek Cezary Czernastek usiłuje rozgrzać widownię ostrym rockiem mieszanym z nastrojowym bluesem. Na próżno. Po 30 minutach zmagań grupa schodzi ze sceny żegnana umiarkowanymi brawami. Regulaminowa przerwa 20 minut jest okazją do mobilizacji sił przed misterium muzyki i krzyku. Rozglądam się po sali. Sporo osób sprawdza stan magnetofonów kasetyowych. Dokonane przez siebie nagranie będzie cenniejszą pamiątką niż najlepsza płyta. Niektórzy pociągają z butelek „rajujące” paliwo. Do płasów wrzasków i pisków potrzeba sporo energii. Po wygaszeniu światel rozumieć lepiej sens wypowiedzi członków grupy TSA z wywiadu zamieszczonego w „Razem”. W ich przekonaniu, a także słuchaczy dzisiejszego koncertu, występ grupy rockowej jest formą rozładowania tłumionych emocji i napięć. Przez dwie godziny młodzi ludzie mogą czuć się na pełnym luzie, wyzwolić się z krepujących schematów postępowania, wyrzucić z siebie kłopoty, zahamowania, stressy. Przy 130 decybelach gitarowego jazgotu wszyscy są równi, spontaniczni, wspaniali. Można wreszcie krzyknąć do woli przy akompaniamencie ulubionych przebojów.

Brytyjscy muzycy mają świadomość swej sławy. W rodzimym kraju i w USA nie zdobyli najwyższych pozycji. Amerykańskie pismo muzyczne „Rolling Stones” systematycznie dyskredytuje ich poczynania, oceniając najniższe płyty Budgie (raptem jedna gwiazdka). Radiowi prezenterzy też nie hołubią ich nagrań. Tymczasem w Polsce są legenda, grupa o wielkiej sile przebicia, rewelacją muzyczną sezonu. Dwukrotnie już „PAGART” zapowiadał przyjazd Budgie. Z różnych powodów nie doszło to do skutku. Tym razem udało się. 17 koncertów w 11 dużych miastach Polski, program telewizyjny i płytka dla „Tonpressu”. Manager grupy sprawia wrażenie faceta wyraźnie zadowolonego.

Pierwsze takti hard rockowego szlagieru „Forearm Smash” odkrywają warsztat i dynamikę członków zespołu. Mimo ograniczonych możliwości instrumentalnych (dwie gitary i perkusja) ich muzyka jest gęsta, nerwowa i ekspresyjna. Kontakt między sceną i widownią nawiązany zostaje błyskawicznie. Po wybuchu pierwszych dymów, towarzyszących „wycieczkom” gitarzysty Johna Thomasa, młodzież na stojąco przyjmuje popisy idoli. Przerwę między poszczególnymi numerami (znaczoną wygaszeniem światel) wypełnia niesamowity wrzask tysięcy gardel: „BA-DZII! BA-DZII! BA-DZII!”. Okrzyki trwałyby dłużej, gdyby nie muzyka. Fala dźwięków ogłusza słuchaczy.

Po kilku utworach — „Crime against the world”, „Napoleon Bonapart one and two”, „Truth drug”, „Wild fire” — można wyrobić sobie zdanie o poziomie oklaskiwanej grupy. Szalona maszyna rytmiczna pracuje na tym samym wcięż wysokim poziomie. Ubarwiają ją efektowne solówki Thomasa, pełne zaskakujących ozdobników, kłosterów i finezyjnych riffów. Wpływają one na widowiskowość spektaklu, podnoszą temperaturę widowni, aktywizują fanów. Ale ostre, metaliczne brzmienie staje się po 10 minutach przykre dla ucha. Muzycy jednak nawet na chwilę nie zwalniali szalonego tempa. Wygrywają to spotkanie ekspresją i spontanicznością. Zrozumiałe więc, że improwizacje muszą sięgać najwyższych rejestrów dźwięku. Ogarnięta amokiem, wiatująca nieustannie młodzież niewiele rozumie z zachrypniętego głosu basisty Burkego Shelleya. Nieważne. Liczy się muzyka, a ta jest dynamiczna, agresywna, podrywająca z miejsc.

Miękkie fotole „Spodka” są na taką okazję mało przydatne. Najlepiej, gdyby ich w ogóle nie było. Można by wtedy urządzić dyskotekę — gigant z dowolnymi tańcami, układami i innymi bajkami improwizowanymi rozwojem akcji na estradzie. Temperatura gitarowych kłótni stale rośnie, co automatycznie przynosi się na widownię. Nadchodzi wreszcie wymarzony przez fanów moment, kiedy można wrodośnie machać transparentem pod sceną, rzucać muzykom kwiaty, „szpanować” przed koleżankami temperamentem tańca i wytrzymałością nog.

Rozbudowana wersja największego przeboju Budgie „I Turned To Stone” wywołuje szat radości. Pot leje się strumieniami z muzyków i słuchaczy przed sceną młodzieńców. Ci są autentycznie szczęśliwi. Nie przeszkadza im zupełnie ubóstwo pomysłów melodycznych i banalność wypowiedzi ulubieńców. Po koncercie żaden nie potrafi zapanować choćby fragmentu refrenu. Uważają jednak wróżkę instrumentalistów za gwiazdy pierwszej wielkości, artystów dużego formatu.

Ekspresja i błyskotliwość licznych solówek pozostawiają nieamowite wrażenie. Po ostatnim popisowym numerze Johna Thomasa i rozłączeniu światel na długo pewnie zapadną w pamięci. 70 minut gry na najwyższych obrotach i bohaterzy wieczoru zmęczeni, ale zadowoleni z przyjęcia, znikają za kurtyną. Ogłuszona kompletnie młodzież niezbyt chętnie podnosi się ku wyjściu. Głośne rozmowy na schodach świadczą o ... niedoaycie wrażeń. Niedawny, wspaniały świat luzji żyje jeszcze w umysłach fanatyków hard rocka. Gruppe najbardziej energicznych (tych od transparentu) udaje się zaintonować pieśń pochwalną na cześć grupy Budgie. Podchwytyują ją łani. Schrypnięte do suchego pisku głosy przenoszą się na ulicę, a później na rondo z pomnikiem Powstańców Śląskich. Nagle torys chłopców zwracają uwagę wieczornych przechodniów. Ira nazwa wykrzykiwanego zespołu nie nie mówi. Są obojętni.

Taniec nad przepaścią

Fragmenty książki Karola Zbyszewskiego

Wolny czas od mówienia ludziom pożytecznych prawd spędzał Karpiński na popokrywaniu, że nikt go nie lubi i nie gustuje w jego towarzystwie. Często urządził ta podłowska czereda publiczne debaty dla swych wychowanków o formie najłepszego radu, o wpływie literatury na społeczeństwo, czy na inny rozróżny temat. Zrazu chłopcy gdałkali, profesorowie z powagą korygowali błędy: wkrótce jeden ganił, co drugi pochwalał — pokłobeni, zapaleni zagłuszali zupełnie swych uczniów, którzy radzi z zamieszania — wymykali się do parku. Przez parę dni cały dwór dygotał od rozkosznej dyskusji, na lekcje nie było czasu.

Dusza tych dysków i całego życia móżgowego w Pulawach był książkę Adam. Trochę oczyszczony o każdej sprawie mówił jak wyrocznia. Znal osobiście większość sław cudzoziemskich — nawet do Rousseau podrapał z pielgrzymką, choć twierdził, że to tonok. Z Wielandem i Herderem wymienił listy pełne komplementów. Mając ściśle papuzia hatwość do języków — nauczył się ich, nie wiadomo po co, kilkunastu; do pewnego lorda pisywał po hindusku, opramie kontent, że nikt tego nie rozumie, co prawda nie wiadomo, czy i lord rozumiał. Ortografia we wszystkich językach na poziomie polskiej.

złomie polskiej, tj. jak na członka Komisji Edukacyjnej przystało — ile słów, tyle błędów.

Przepadł książkę Adam za wierszoklemani i wspierał ich szczodrze. Książkowi wyznaczył pensji prawie trzecią część tego, co pobierał kucharz Görlitz — całe 1500 zł rocznie, czyli 85 dukatów. Cenit uszczelniał, sypnął parokrotnie biskupowi Naruszewiczowi wlecznie jaknietemu pieniędzy na dwa cele: współpracę z damami i pracę w archiwach; wysłał Albertandiego na studia historyczne do Rzymu prawie na tak długo jak Sobolewskiego na praktykę klasyczną do Neapolu; przyjmował naskawie książki sobie przypisane, przagnął, by każdy obiad w Pulawach był czwartkowym.

Ludzie nauki i pióra byli wtedy powszechnie uważani w Polsce za prostaków i pomylonych, w żadnym dworze nie wpuszczano ich poza próg kuchni, rozmowę z nimi uważano za poniżającą jak z chłopem, nigdzie (a zwłaszcza w szkołach i akademiach) nie mogli zarobić na całe portki. Toż drobniutki dobrodziejstwa Czartoryskiego, znikome w porównaniu z wyświadczanymi tegim piątkom, odważnym rebotcom, lub zabawnym faecjonistom przez Radziwiłła, Potockiego czy innego Królka, wzbudzały u poetów żywiołową wdzięczność. Magnat, co nimi nie gardził i częstował żyką zupy, wynosił pod niebiosa.

Księżna Izabella wydana za mąż jako 16-letnia kora, w miarę jak się starzała i przestawała podniecać mężczyzn, podciągała się umysłowo pod wpływem małżonka. Kochała szalone zabawy, ale znośła i poetów wysławiających jej wdzięki: książkin smarował odę na jej cześć przynajmniej raz na tydzień.

Uchodząca za wzorową matkę; istotnie nawet 8-mioletnią Zosię czasem widywała. Sama zawsze stękała, że została wychowana w nieuctwie i nie-dbałstwie przez idiotkę — umieszcza więc Zosię pod pleczę panny Petii, chorej, zdziwaczalą staruszką, która właśnie ją, a bodaj i jej babkę uczyła w dzieciństwie. W bibliolistkich Pulawach znalazł no dia Zosi tylko podarty katechizm służący klędy jej braciom. Dopiero przypadkiem się dowiedziała, że to nie Pan Bóg zapomniał dopchnić swe 10-cioło przykazań, ale w jej katechizmie brakują kartki z piecni ostatnich. Myto ją raz na tydzień — o ile nie zapomniano, bito częściej — o ile metrówie byli w werwie.

Rezydentów i gości pełne były zawsze Pulawy. Dyktantka i wytlworność obowiązywały. Pani Przemowska na wysokich obcasach z talią tak w gorsecie ścisniętą, że jedną dłoń można było objąć, a pierś dostawała do nosa; pani Chrzanowska, co się nigdy z białym baranem nie rozstawiała, wwozila go do salonu i spała z nim w jednym łóżku; pani Oleczka znów ukochala wielką gęś — laszczyła ją na wstążce wszędzie za sobą.

Użycie różu nie było powszechne; niektóre eleganki nosły małą skatulkę z kryształowym gąstorkiem pełnym wódki, gdy chciały kogoś olśnić otwierali puздеrko, goliły parę solidnych łyków — aż stwierdziły w lusterku od wleka, że policzki się zaciezwieniły. Na głowach kopiaści, obficie przyrudowane peruki; nieraz strojnista wydubala z włosów wesz czy pluskwę, kładła ją wtedy zreczenie na stół i — punkt molekularnym z koci słońowej noszonym na szyi specjalnie dla tej egzotki. Woliano mieć insketa niż cześć się co dzień. Wisła plynęła pod bokiem, w największym upał

nikomu nie przychodziło do głowy się wykąpać, wodę uważano za zębną i wystrzeżano się jej starannie.

Grzeźność polka była w istocie chińska. Zoma mówiła do męża: — Mnie wiele miłościwy panie! brat do siostry: — Jasnje wielmożna sercu memu ukochana pani syn w chwilaach nlewykłej poułałości: — Pani matko! Powiedzieć komuś: „Jasnie wielmożny!” skoro należało się: „Jasnie oświecony!” — było straszliwą obrzą. Zawhość ta męczyła i utrudniała konwersację, toż w Pulawach papiano niemal wyłącznie po francusku.

Niemcewicz byszał w salonie; nienaganie wytraczony, nleznuty w lekkim klekocie, tryskający dowerpami, na poczekaniu wpiywał wierzę do sztabucha, tafaży wspaniale, najładniejszym kinchom prawil komplementy, nleznający — był nleznawaniu przedstawiał amatorskich — był nleznawie pożyteczny w Pulawach. Widok jego smukłej, zgrabnej postaci sprawiał wszystkim przyjemność.

Szara brat szlechecka wcale nie gustowała w Pulawach. Wprawdzie książkę wdziewał kontusz, pamiętał jak czyja połowica, matka, babka z domu, gwarzył uprzejmie, ale pić nie lubił, sprytnych toastów nie wznosił, nleznego do plecta nle przynmieszal. Szlachta lubila dwory, gdzie nieprzytomnych wyciągano spod stołu i siła lano jęszcze do gardła.

Nie było też w Pulawach pojedynków na kielichy, ani wesolych frazasek jak np. łyknąć duszkien kwarle gdańskiej wódki i wrnet potem wlecieć po drabinie na dach stodoły. Dopiero zabawa, gdy się ktoś ze szcztu zwalił jak kłodal Albo sprowokował do boksi dwóch zalanych w perłkę i patrzcie jak w zęby sobie trać nie mogą...